



ROK LVIII

NR 4

MISŁY GODNIOWE I LUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 24 STYCZNIA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Walka z drożyzną. Konkurs wydawców—*Stefanja Podhorska-Okołów*. Zapomniany szczegół ważnego zagadnienia—*Marja Jacuńska*. Szkoły państwowe czy szkoły prywatne — *K. S.* Wiersze — *Christina Rossetti* (Przełożyła *Zofja Rościszewska*). List z Poznania — *Wanda Miłaszewska*. Zabłąkane [dziecko — *Grazia Deledda*. Jak piorun... (dok.) — *John Galsworthy*. Drogami duszy (powieść) c. d.—*Helena Ceyssingerówna*. Z cyklu sylwetek: *Jadwiga Iwanowska-Zaleska* — *C. Walewska*. Refleksje — *Dr. Z. G.* Foyer International des Etudiants w Paryżu — *H. F.* Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Wychowanie fizyczne i życie sportowe kobiet — *I. Fabrycowa*. Z muzyki — *Ruś Anus*. Z książek. Kosze do papierów. List z Paryża — *Hrabina Annie*. O prasowaniu sztywnej bielizny — *J. S.* Korespondencje — *Pani Elżbieta*. Przekąski — *W.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Nadesłane do Redakcji. Komunikat Biura Prasowego dla spraw kobiecych. Dodatek powieściowy: 1) „Biały Paw” — powieść *Henry Bordeaux* — autoryzowany przekład *M. Domańskiej*, 2) „Czar Kwietniowy” (przekład z angielskiego) — przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckiego Ogródu” (ciąg dalszy). Dodatek robót i ubiorów. **ARKUSZ WZORÓW.**

WALKA Z DROŻYZNĄ

Mówi się o niej, jak o duchu na seansie.

Niby to jest zjawia, .. a za chwilę się rozwieje, — że i ślad z niej nie pozostaje żaden.

Kto walczy z drożyzną? Jakoby — Rząd. Jakoby jakieś od czasu do czasu wyłaniane specjalne urzędy, kasowane niebawem pod przemożnym wpływem sfer, którym na istnieniu drożyzny zależy.

Spółczeństwo, ogół, konsumenci, zachowują się na ogół biernie, podając się z niemęskim tchórzostwem i niedołęstwem zorganizowanemu despotyzmowi producentów, a przede wszystkim — kupców.

Najbierniej zaś zachowują się kobiety.

Najbierniej — choć sprawa ta najbliższej je dotyka, choć przez ich ręce toczy się codziennie olbrzymia fala groszy i złotych i wpada w paszczę smoka drożyzny. One to smokowi temu niosą same najcięższe ofiary.

Jakiś niezrozumiały poprostu, brak w tym względzie inicjatywy

i energii ze strony stowarzyszeń kobiecych, które od lat kilku popadły zaprawdę w nieuleczalną jakby anemię!

Żadnego zbiorowego kroku w sprawie tak ważnej, tak zatruwającej nam atmosferę życia codziennego!

Istnieje n. p. Komisja do badania cen, organ, który regulować powinien zapędy spekulantów, nie dopuszczając do nadmiernego oprocentowania pośrednictwa. Niedawno pisma codzienne ogłosiły skład tej Komisji.

Ani jednej kobiety!

Czyż nie powinny stowarzyszenia kobiece zwrócić się do Rady Ministrów z żądaniem [dopuszczenia wyznaczonych przez nie delegatek do składu tej komisji?!...

Wprawdzie istnieje u nas niepokonana tendencja niewprowadzania kobiet na żadne stanowiska, które dałyby im możliwość wpływu na życie publiczne — jednakże sędzę, że w tym wypadku, wobec zbiorowego, wyraźnego żądania Rząd musiałby zrobić ustępstwo, tem

bardziej, że w sferach rządowych istnieje niewątpliwie dobra [wola w sprawach walki z drożyzną i pragnienie pomocy istotnej ze strony społeczeństwa, a tylko zaśniedziałe uprzedzenia dojrzeć nie pozwalają, że są sprawy, w których kobieta właśnie chce, musi i powinna zabrać głos, w których tylko akcja z jej strony może mieć istotne znaczenie.

Do takich należy bardzo wiele spraw gospodarczych. Przypominam sobie, że podczas wojny, Berlin, tak lekceważący zwykle kobiety — gdy chodziło o sprawy aprowizacji miasta, powoływał zawsze komisje mieszane, sądząc i słusznie, że w sprawach, dotyczących żywienia ludności, kobieta ma coś do powiedzenia. Kobiety decydowały tam o rozdziale racji kartkowych, o ich urozmaiceniu, o stosunku jednych produktów do drugich i t. d.

U nas nawet w sprawach kuchni, w kwestji cen pieprzu i soli chcą głos zabierać wyłącznie mężczyźni.

Tej wielce szkodliwej jednostronności winne są w dużym stopniu nasze organizacje kobiece. Toczy je robak marazmu i dlatego nikt się z nimi nie liczy i o zdanie ich nie pyta.

Gdyby było inaczej, w kwestji drożyzny podjęłyby one już dawno kroki poważne i stanęły do skutecznej współpracy z Rządem.

Jednym z pierwszych kroków tego rodzaju powinny być stworzenie jednej, wielkiej, wspólnej kooperatywy wytwórczo-spożywczej, jednej wspólnej piekarni n. p. by tak zasadniczy produkt, jak chleb wyrwać z rąk spekulantów.

To byłby istotnie wielki czyn obywatelski, to byłoby poważne zasachowanie drożyzny.

Zamiast setek drobnych, bankrutujących sklepików, które zakłada u nas każda prawie poszczególna organizacja kobieca — skupić siły i stworzyć instytucję, która by zaważyła na naszym życiu ekonomicznym.

Gdyby organizacje nasze miały w sobie duże siły żywotne, walka ich z drożyzną zaznaczałaby się przynajmniej planową propagandą

na rzecz istniejących już kooperatyw. Ale i tego nie widzimy.

Jest naprzykład w Warszawie przy ul. Wareckiej № 9, kooperatywa spożywcza inteligencji pracującej. Towar ma dobry, ceny istotnie niższe niż gdzieindziej, ale ruchu wielkiego tam niema; nikt nie zachęca do brania udziałów, nikt nie popiera. Cisza i obojętność.

Gdyby stowarzyszenia kobiece żyły istotnie, a nie wegetowały tylko, stworzyłyby natychmiast po ustaleniu się waluty wspólny Komitet do walki z drożyzną; zaprosiłyby doń siły naukowe kobiece, zarówno jak i doświadczone gospodynie, a jednych i drugich nie brak u nas; nie brak też dzielnych organizatorek.

Komitet taki powinien uzyskać sankcję rządową i być w ścisłym kontakcie z poczynaniami rządowymi w tej kwestji. Komitet ten mógłby zostać pewnego rodzaju władzą ekonomiczną, której skinięć słuchałoby społeczeństwo, wstrzymując się n. p. od nabywania pewnych produktów, których ceny zostały w danej chwili sztucznie wyśrubowane, nabywając towary w instytucjach przez Komitet wskazanych i t. p. i t. p.

Po paru miesiącach energicznego funkcjonowania takiego Komitetu, ujrzećby napewno można realne jego rezultaty.

Ponieważ jednak sen głęboki, nie sen odpoczynku po trudach, bo te już dawno minęły, ale jakaś chroniczna, chorobliwa śpiączka coraz bardziej ubezwładnia nasze organizacje kobiece, przeto choć rok minął już od chwili, gdy rozpoczęła się stabilizacja naszej waluty, drożyzna hula, jak hulała, a nawet coraz chciwszym, coraz zachłanniejszym potwór ten się staje, uniemożliwiając powrót do normalnych stosunków, do spokojnej pracy zawodowej.

Polska jest dziś na świecie krajem najwyższych cen, a kobiety polskie, grozą tego zjawiska nie zatroskane, nie przeciwstawiają mu żadnej zbiorowej akcji.

Do braku aktywności naszych stowarzyszeń kobiecych powrócimy jeszcze w innym artykule. Jest to bowiem kwestja, wymagająca specjalnego rozważenia. Tu stwierdzamy tylko karygodną nieobecność naszych kobiet tam, gdzie bezwzględnie znaleźć się one powinny i to na pierwszym miejscu.

KONKURS WYDAWCÓW

W d. 6 b. m. nastąpiło ostateczne przyznanie nagród, wyznaczonych przez Związek polskich księgarzy wydawców. Sąd konkursowy stanowili: Stefan Krzywoszewski (przewodniczący), Wacław Grubiński, Stanisław Miłaszewski (sekretarz), Leopold Staff, Juljusz Kaden-Bandrowski i Edward Słoiński, jako delegaci Związku autorów dramatycznych, Tow. literatów i dziennikarzy oraz Związku zawodowego literatów. W obradach sądu, bez prawa głosu decydującego, uczestniczyli przedstawiciele Związku polskich księgarzy-wydawców pp. Zygmunt Arct i Jakób Mortkowicz.

Nagrody były trzy; każda po 2000 złotych a mianowicie:

1) nagroda dla żyjącego twórcy najlepszej oryginalnej powieści lub noweli, wydanej w książce w cią-

gu ostatnich dwóch lat i napisanej przez autora, który nie skończył jeszcze 35 lat.

2) nagroda dla żyjącego twórcy tomu poezji, wydanego drukiem, lub też utworu scenicznego, wystawionego na jednej z pierwszorzędných scen polskich, z uwzględnieniem tej samej granicy wieku t. j. 35 lat.

3) nagroda za najwybitniejszą działalność krytyczną bez ograniczeń co do wieku.

Sąd konkursowy, po trzydniowych obradach, których najsprzeczniejsze echa dobiegały uszu ciekawej publiczności i tajemnie rozgorączkowanych zapaśników, postanowił rozdzielić wszystkie trzy nagrody, przyznając je:

1. Za powieść i nowelę Jarosławowi Iwaszkiewiczowi i Marji Dąbrowskiej.

2. Za poezję — Janowi Lechońowi i Kazimierzowi Wierzyńskiemu

3. Za działalność krytyczną — Janowi Lorentowiczowi i Ostapowi Ortwinowi.

Zjawiskiem, smutne nasuwającym refleksje, jest brak wśród nazwisk nagrodzonych choć jednego nazwiska autora dramatycznego, pomimo, że w warunkach konkursu wyraźnie powiedziano: „o utworze scenicznym, wystawionym na jednej z pierwszorzędných scen polskich“. Przebiegamy myślą naszych dramaturgów ostatniej doby: Rostworowski, Witkiewicz, Katerwa, German — niewiadomo, czy który z nich wytrzymałby próbę trzydziestopięcioletniego żywota, zdaje się nawet, że napewno żaden, — dwie utalentowane siostry Magdalena Samozwaniec i Marja

Pawlikowska dały niedawno dwie próby sceniczne o mocnym zapachu sensacji, bardzo płytkie w ujęciu. Pozostaje jeden jedyny Szaniawski, autor „Ewy”, „Ptaka” i „Lekko ducha”, twórca pełen poczucia sceny, interesujący w kontrastowych zestawieniach krańcowych romantyzmu z sarkazmem powszedniości, budzący szereg zagadnień swoistą postawą wobec życia, ale... nie przecinający niczego, wracający zawsze do swego punktu wyjścia. Raczej poeta — myśliciel, niż dramaturg.

Minął okres rozkwitu polskiego dramatu, zamknęło się wieko czasu nad Wyspiańskim, Przybyszewskim, Kisielewskim. Rozrost sztuki kinowej, wszechwładna supremacja X Muzy zdaje się zapowiadać rychłą śmierć poczynającego się dramatu już w embrjonie.

Zrozumiałą zatem jest ta wyłączość, z jaką sędziowie zwrócili się ku poezji. Tutaj sprawa zdawała się zupełnie jasną. Na czoło najmłodszej poezji polskiej już od lat kilku wysunął się Jan Lechoń. Nie obfitością utworów, nie szerokością skali, ale głębią treści i marmurową skończonością formy. Jego „Karmazynowy poemat” był swego czasu zjawiskiem rewolucyjnym: odosobnionym wzlotem w sfery czystego romantyzmu na skrzydłach zgoła nowoczesnych, w których jednak wszystkie niemal pióra wyrosły z puchów pogubionych przez wielkie duchy naszych wieszczów.

Po kilku latach milczenia a może zagłębiania się w siebie twórczość Lechonia uległa skondensowaniu. Egocentrycznie zakreślone koło jego poetycznych zainteresowań poczęło zataczać coraz szersze kręgi w kosmosie i musiało napotkać na swej drodze problematykę miłości i śmierci, tę wyspę, zaludnioną duchami, na której zawsze zarzucić musi kotwicę okręt wielkiej poezji.

Tak powstało „Srebrne i Czarne” zbiorów kilkunastu utworów — posągów, tak marmurowych w swym kształcie, że możnaby je nazwać klasycznymi, gdyby nie wieczne pełgający w nich, niespokojny płomień palącego zwątpienia i nieukojonej tęsknoty za Bogiem.

Dlaczego podzielono nagrodę za poezję, skoro żaden ze współczesnych poetów nie może iść w zawody z Lechoniem co do waloru słowa w jego najgłębszym, artystycznym znaczeniu? Czy w drugim laureacie konkursu, Kazimierzu Wierzyńskim twórcy bezwzględnie utalentowanym, chciano specjalnie podnieść tę „urodę życia”, radość z niej, jaka stanowi rdzeń i motor jego poezji? Skoro już jednak nie wahano się dzielić nagrody, dlaczego nie zatrzymano się nad imieniem Młakowiczówny, która, jedyna w dzisiejszym pokoleniu poetów, dała pierwszorzędną próbę epiki mistyczno-ludowej w „Opowieści o Moskiewskim Męczeniu”.

Nagroda za powieść i nowelę rozdzielona została między Jarosława Iwaszkiewicza a Marię Dąbrowską, dobrze znaną czytelnikom „Bluszczu” ze świetnych, soczystym piórem kreślonych nowel i obrazków z życia wsi, pełnych żywiołowego napięcia i oryginalnego wczucia się w duszę człowieka i natury.

Jarosław Iwaszkiewicz, młody poeta z grupy „Skamandra”, w swojej prozie przechręła się znamienne ku szlachetnej prostocie. Jego „Hilary, syn buchaltera”, powieść o dziejach młodego poety, ciśniętego na bruk wielkomiejski, stanowi nowy etap w rozwoju artystycznym autora pięknie stylizowanych legend.

Przy rozdziale nagród w zakresie powieściowym dziwi znowu i uderza nieobecność nazwiska Kossak-Szczuckiej, autorki „Pożogi” i „Beatum Scelus”. Należy ona do tych indywidualności twórczych, o których się zapomnieć nie da i których zapomnieć nie wolno, chociaż można je pominąć, gdy ktoś tego koniecznie chce.

Jan Lorentowicz, laureat za krytykę, jest estetą o wyrobionej sławie i pełnym zasługi oraczem na kamienistej glebie polskiego artysty. Czy to jako kierownik literacki teatrów miejskich, czy jako krytyk sceniczny lub literacki wykazywał zawsze dojrzałość sądu i zdrowy instynkt estetyczny. Nazwisko jego przez wszystkich, mił-

jących sztukę rodzimą, powitane jest z radością. Zaznaczyć należy, że opinia publiczna wysuwała do rzędu najwybitniejszych kandydatów nazwisko Zdzisława Dębickiego, za trwałą, metodyczną i usilną propagandę polskiej książki.

Z młodszego pokolenia dostał nagrodę Ostap Ortwin, krytyk „Przeglądu Warszawskiego”. Bezstronność sądu, obiektywne stanowisko, tak trudne do zdobycia, gdy się mówi o utworach żywych, jeszcze nie zastygłych, czasem nawpół dopiero skryształizowanych, pogłębienie psycho-analityczne, zdolność wcielania się w dusze poetów, umożliwiająca krytykom nurkowanie w głębinach i zakamarkach cudzego „ja”, docieranie aż do dna, aż do rdzenia istoty rzeczy, wreszcie żywiołowy temperament pisarski, opanowany i osiodłany znakomicie przez wysoką kulturę, — zespalają się w indywidualności Ostapa Ortwina na typ rasowego krytyka.

Jest to prawdziwy „poławiacz pereł” w odmętach naszej literatury, licznymi prądami nurtowanej, a tak rzadko sięgającej do głębin, w których się rodzą perełki.

Tyle o laureatach konkursu. Pomimo licznych obiekcyj, i zarzutów, jakie możnaby postawić wobec jego rozstrzygnięcia, a jakich drobną zaledwie garstką niniejszy artykuł przytacza, podnieść należy z całym uznaniem sam jego pomysł, jako nagrody wydawców, którzy w racjonalnym poczuciu swego stanowiska zdali się całkowicie na sąd fachowców — autorów.

Podobno konkurs ten ma być wznawiany co roku, utworzy zatem pewną stałą funkcję, coś w rodzaju paryskiej „nagrody Goncourtów”. A zatem baczność! młodzieńscy twórcy! Każdy żołnierz napoleoński nosił w tornistrze buławę marszałka; każdy poeta hołduje w sercu skryte marzenie o sławie.

A jednak... najlepszą, dotychczas niezastąpioną nagrodą autora jest wiadomość o... wyczerpaniu całkowitego nakładu jego dzieł. A na to złożyć się musi wiele ubocznych czynników, oprócz najważniejszego: talentu.

St. Podhorska-Okolów.



ZAPOMNIANY SZCZEGÓŁ WAŻNEGO ZAGADNIENIA

II.

Stawiam drugą tezę. Brzmi ona: Mąż stanowi największą kombinację w obecnej zmianie podstaw naszego życia.

Przedewszystkiem dlatego, że nie jest to „moje życie,” tylko „nasze życie,” a więc wszystkie zmiany w niem tyczą się nas obojga i ja sama nie mogę o nich decydować.

Niewiasta o zakroju feministki wykrzyknie: „Nie jestem niewolnicą! Jestem wolnym człowiekiem i nie uznaję nad sobą żadnych praw zwierzchnich.”

Przepraszam! Wcale nie jestem takim wolnym człowiekiem. Odrzucając nawet sprawy uczuciowe jestem współnikiem przedsiębiorstwa, które się nazywa — dom. Jako uczciwy współnik muszę dbać o interesy całego przedsiębiorstwa, nietylko o moje własne. Te zresztą z chwilą przystąpienia do spółki jako odrębne już prawie nie istnieją, a w żadnym razie nie wolno im kolidować z interesami całości. To tylko prosta uczciwość. Zresztą obustronnie obowiązująca.

To też, jeśli mąż chce w życiu domowym zaprowadzić jakieś zmiany, musi liczyć się zupełnie tak samo ze zdaniem żony i nie może nic samowolnie decydować. Obie strony muszą się również zgodzić na wzajemną kontrolę i wzajemne wymagania solidnej współpracy. Niema tu zwierzchności — równouprawnienie jest zupełne.

Uważam, że byłoby rzeczą bardzo wskazaną, aby głos w całej tej dyskusji zabrali też mężowie. Poważnie i rzeczowo, nie jako nasi wrogowie, lecz jako bardzo życzliwi współnicy niech powiedzą, jakie widzą plusy i minusy w tej nowej fazie, w którą wstępuje życie. Jak dalece chcieliby i mogli dopomóc nam w rozwiązaniu tej skomplikowanej kwestji — ku ogólnemu zadowoleniu. Powinniby to zrobić zarówno w naszym, jak i w swoim własnym. — to znaczy w naszym wspólnym interesie.

Żona dla męża jest elementem niezastąpionym. To takie proste:

Mężczyzna żeni się z daną kobietą dlatego, że potrzebuje jej obecności w całym swoim życiu. Potrzebuje jej jako towarzyszkę, jako przyjaciółkę i jako kochankę.

I jeszcze jedno: jako opiekunki. Bo ten pan stworzenia jest znacznie mniej samodzielny, niż kobieta i więcej jeszcze niż ona potrzebuje kogoś najbliższego, ktoby się o niego troszczył, o nim myślał, o niego dbał. A najlepszy dowód, że tak jest, to fakt, że stary kawaler jest postacią znacznie tragiczniejszą niż stara panna. Dla kobiety źródłem energii życiowej i zadowolenia może być świadomość, że ma o kogo się troszczyć, dla kogo pracować, — mężczyzna sam tej opieki potrzebuje.

Otóż podstawą szczęścia kobiety — żony jest być niezastąpioną w tych czterech zasadniczych rolach. (Nie mówiąc o całym szeregu drobniejszych). A ponieważ nie można tego traktować oderwanie — więc jest to podstawą szczęścia obojga.

Gdy obecnie warunki materialne lub dążności umysłowe odrywają kobietę od zajęcia się dziećmi, stwarza „ersatz” opieki macierzyńskiej i daje im bonę, która przez pewną ilość godzin w dniu zastępuje im matkę.

Ale która żona potrafi — i która zechce stworzyć dla męża „ersatz,” który ją będzie zastępował w czasie nieobecności?... Bo przecież zajęcie pozadomowe to nietylko kilka godzin pracy w jakiejś instytucji czy szkole — to cały kompleks spraw, kwestyj i interesów, które muszą bardzo absorbować pracowniczkę. A przez to rozluźnia się życie domowe.

Dotychczas jedna tylko strona nie była panem swego czasu — mąż, ale wiedział, że jak tylko się ze swymi zajęciami upora i wróci do domu, to Ona napewno tam będzie. I zaraz będzie mógł podzielić się swymi wrażeniami, powodzeniem lub zawodem, wogóle swymi przeżyciami. Albo poprostu usiadzie spokojnie — aby odpocząć po trudach dnia w pobliżu jej kojącej obecności.

Bo kobietę dom będzie zawsze ciągnął jako dom, a świadomie czy nieświadomie mężczyzna dąży do domu dlatego, że tam jest kochana kobieta.

Jeśli wie, że jej niema, lub że jest to prawdopodobne — przestanie dążyć. I ci ludzie, którzy się pobrali po to, żeby być razem — mijają się tylko parę razy na dzień.

Ale powiedzmy nawet, że w domu mieszka ktoś z jego rodziny, siostra lub matka i ta dotrzymuje mu towarzystwa, troszczy się o niego w czasie nieobecności żony. Czy żonie to nie sprawi przykrości? Czy wcale nie będzie zazdrosna?

Bo, jeśli smutno jest wychodzić z domu i zostawiać męża, który to sobie uważa za krzywdę, to znacznie gorzej zostawiać takiego męża, który już nie uważa tego za krzywdę. Przyzwyczał się. Nie odczuwa braku. A więc przestałam być nieodzowną, niezastąpioną... To jest początek końca. A dla kobiety dowód, że nie spełniła dobrowolnie podjętego zobowiązania: nie dała szczęścia mężowi.

Bardzo często słyszy się oburzone zdania, że ci sami ludzie inne normy etyczne stosują w życiu prywatnym i w życiu politycznym. Jąbym wysunęła inne żądanie: w życiu domowym, osobistym musi obowiązywać ta sama etyka, ta sama uczciwość i ta sama odpowiedzialność, co w stosunkach z obcymi ludźmi; żeby opinja publiczna tak samo się odnosiła do lekceważenia obowiązków życia domowego, jak do lekceważenia zobowiązań honorowych. Żeby każdy zrozumiał, że to nie są sprawy jedynie uczuciowe, że ruina ogniska domowego, to ruina przedsiębiorstwa, za które przyjął na siebie odpowiedzialność — to bankructwo moralne. Wszystko jedno, co było przyczyną: lekkomyślnie wybrany współnik, czy karygodne zaniedbanie, lekceważenie interesów tej instytucji, w każdym razie odpowiedzialność pozostaje. I bankructwo też.

Cały ten ustęp to nie moralizująca dygresja, tylko podkreślenie najważniejszych komplikacyj życiowych. A komplikacje te mają jeszcze jeden supełek bardzo trudny do rozwiązania.

Dajmy na to, że dzielna, rozumna kobieta potrafi pogodzić obowiązki pani domu, matki, żony i pracownicy. Że, dzięki jej wielkiej pracowitości i doskonałemu rozkładowi czasu przez wyzyskanie każdego kwadransu, żadne z pól jej działania nie jest zaniedbane. Oprócz jednego — jej kobiecość, wymagająca bądź co bądź pewnej dbałości, pielęgnacji i konserwacji. A nie mając nigdy chwili czasu

dla siebie — zużywa się i starzeje przedwcześnie.

(Słyszę już głosy protestujące, że kobiety oddające się życiu społecznemu czy naukowemu zachowują daleko dłużej młodość od dawnych „kurek” domowych. Tak, ale one przeważnie nie są szczęśliwe w małżeństwie, co je w każdym razie uwalnia od wielu kłopotów i komplikacji — najczęściej uchylają się od obowiązków macierzyństwa, bo przez to jedno czy dwoje dzieci, które na świat wydadzą nie są jeszcze matkami rodzin w całej rozciągłości tego słowa). A jeśli kobieta wcześniej się zużyje i zestarzeje, to nie będzie mogła odegrać swojej bardzo ważnej roli, która jest urokiem i poezją życia — roli kochanki. Przystanie się podobać mężowi. Zlekceważyć to zagadnienie może tylko ta, która się i tak mężowi nie podoba. I tylko taka uzna się za wyższą ponad tego rodzaju drobiazgi.

Każda inna zdaje sobie sprawę z ważności i piękności tego czynnika w życiu codziennym. W najlepszym małżeństwie z chwilą, gdy miłość — pełna, całkowita, kompletna miłość ograniczy się do przywiązania, szacunku i — współzucia — życie traci urok.

Skoro w postępowaniu małżeństwa decydującą rolę odgrywają tylko: poczucie obowiązku, szacunek, uczciwość — bez polotu i usmiechu wzajemnego podobań się — życie staje się wypełnianiem obowiązków, ale bez radości istnienia.

Bo to jest właśnie uroda życia.

A w takiej bezsłonecznej atmosferze wychowane dzieci pójdą w życie bez odporności duchowej. Tak jak z ciemnych, bezsłonecznych suteryn wychodzą bez odporności fizycznej.

W dodatku: kobieta podobająca się mężowi ma nad nim nieograniczoną władzę. Czy chcemy z niej zrezygnować?

Zresztą, proszę zwrócić uwagę, że sprawa wczesnego starzenia się kobiet nie jest bynajmniej kwestią bez znaczenia, skoro w krajach, gdzie dojrzała młodość kobiety trwa bardzo krótko — nietylko obyczaje ale i prawodawstwo musiało to uwzględnić.

Podejmuję z góry zarzut, którego się spodziewam ze strony niektórych Czytelniczek: takie małżeństwo, jakie ja tu przedstawiam to nierealna idylla, to sen o szczęściu. Być może. Ale takie sny ię czasem ucieleśniają. (Trzeba tylko posiadać czarodziejskie zaklęcie). Tembardziej w naszej epoce, pełnej krańcowości, gdzie widzimy zdecydowany rozłam zjawisk życiowych na wyjątkowo dodatnie i wyjątkowo ujemne.

Zresztą dyskusja na temat form współżycia między ludźmi musi zawsze brać pod uwagę tylko jednostki dodatnie. I każda ustawa, regulująca te formy musi liczyć na dobrą wolę.

Przecież pomimo, że zdarza nam się widzieć matki, opuszczające dla zabawy czy kaprysu, na całe tygodnie dom, w którym dzieci oddane są pod opiekę głupiej lub zepsutej służącej, jednak traktujemy, jako typ realny matkę, cierpiącą głęboko nad tem, że codzień musi wyjść do pracy i zostawić na kilka godzin dziecko pod opieką babki.

Więc dlaczego, mimo wszystko, co się mówi o dzisiejszych małżeństwach, nie mamy sądzić, że w naszym pokoleniu jest wiele, bardzo wiele małżeństw szczęśliwych i na to szczęście zasługujących.

W dalszym ciągu tych refleksji musimy rozróżnić dwa zagadnienia: 1) praca zarobkowa, 2) praca intelektualna.

Jeśli życie zmusza kobietę do pracy zarobkowej, szkoda czasu i miejsca na dyskusję, czy powinna pracować, czy nie: musi i koniecznie. Ale to znaczy, że pracuje nie dobrowolnie, tylko pod przy-

musem ciężkich warunków materialnych, a z chwilą poprawy bytu — wróci znów do zajęć rodzinno domowych.

Tymczasem jednak nie wolno jej pozostawiać na pastwę losu. Społeczeństwo ma wielkie obowiązki względem współczesnych matek pracujących. Musi wszelkimi środkami ulżyć jej w konflikcie tej pracy z życiem domowym przez ułatwienie i zmechanizowanie zajęć gospodarskich i możliwe złagodzenie kolizyj między obowiązkami rodzinnymi i pracą. I to piszę nie jako frazes. Uważam, że te rzeczy muszą być w najbliższej przyszłości realizowane czy to na drodze ustawodawczej, czy jako inicjatywa społeczna, bo obecny stan grozi normalnemu rozwojowi Narodu. Ale i względem przyszłego pokolenia kobiet mamy poważny obowiązek: wychowanie i domowe i szkolne musi przygotować dziewczęta do największej umiejętności życia — do pogodzenia pracy rodzinnej z zarobkową.

Jeżeli jednak dana rodzina nie ma „noża na gardle”, a kobieta pragnie zarobkować dla polepszenia warunków egzystencji, to niejednokrotnie spotyka się ze sprzeciwem ze strony męża. Mąż, mając stosunki w wielu instytucjach i wiedząc, na ile przykrości i upokorzeń są często narażone pracujące tam kobiety, pragnie swoją żonę od tego uchronić. Drugim motywem jest czysto męska ambicja. Znam z bliska dwa identyczne fakty, które miały miejsce w wyjątkowo dobranych i kochających małżeństwach. Z chwilą, kiedy ciężkie czasy zaczęły się coraz bardziej dawać we znaki, żona umyśliła sobie sposób zarobkowania. Przy dużym poczuciu artystycznym i umiejętności chciała zajmując się sztuką stosowaną i spieniężać swe wyroby. Ale mąż ujął tę kwestję ze specjalnego punktu widzenia:

(c. d. n.)

M. Jacuńska.

Szkoły państwowe czy szkoły prywatne?

Co ma większą rację bytu: szkoła państwowa czy szkoła prywatna? Jest to problem niełatwy do rozstrzygnięcia. Można bowiem zagadnienie to rozpatrywać z rozmaitych stanowisk: z punktu widzenia społecznego, ekonomicznego, ze stanowiska higieny, polityki, a wreszcie psychologii i wychowania publicz-

nego. Bardzo często to, co wydaje się n. p. pożądane z punktu widzenia ekonomicznego, jest wprost potępiania godne ze stanowiska pedagogii i higieny, a to, czego żąda polityka, niezawsze daje się pogodzić z zasadami społecznymi.

Dlatego też zdarzyć się może nieraz, że ci sami ludzie, którzy raz

są zwolennikami szkoły państwowej, innym razem znowu wypowiadają się raczej za szkołą prywatną i na odwrót. I dlatego również tu szkołę państwową, ówdzie znowu szkołę prywatną musimy uznać za lepszą. Ogólnej, bezwzględnej teorii postawić nie można, choćby z tego względu, że w rozmaitych państwach,

w rozmaitych okolicznościach rozmaicie te sprawy się kształtują. W Anglii n. p. i w Ameryce rozwinięto się lepiej szkolnictwo prywatne, podczas gdy Niemcy i Francuzi są raczej zwolennikami szkolnictwa państwowego.

Przechodząc do naszych stosunków, trzeba zaraz zaznaczyć, że kwestja ta ma zupełnie inny charakter w każdej z trzech dzielnic. Inaczej przedstawiają się te sprawy n. p. w Małopolsce, inaczej w b. Kongresówce, jeszcze inaczej w Poznaniu.

Kiedy przed czterema laty, pracując w jednej ze szkół prywatnych w Warszawie, wspomniałam mimochodem, że mam zamiar starać się o posadę w gimnazjum państwowem, spotkałam się z wielkim zdziwieniem moich kolegów. A jedna z koleżanek, należąca do wybitnych nauczycielek warszawskich, wyraziła się w ten sposób: „Pani jest za dobrą siłą pedagogiczną, aby być zmuszoną do przyjęcia posady w szkole państwowej.“ „Jakto?“ — zawołałam ze zdziwieniem. „Takim nauczycielkom, jak Pani, nie zabraknie nigdy ofert ze strony szkół prywatnych“, dodała, uważając, że to już w zupełności tłumaczy ich stanowisko.

Domyśliłam się, o co chodzi i zaczęłam rozumieć stosunki. Tamtejsze nauczycielstwo uważa szkoły prywatne — naturalnie dobre szkoły — za szkoły o wiele lepsze od szkół państwowych i dlatego sądzi, że mając do wyboru między jedną a drugą, nauczyciel nie może się wahać.

Trudno się temu dziwić. Na ten stan zapatrywań składa się cały szereg ważnych czynników. Pojęcie szkoły państwowej skojarzyło się tam głęboko ze świeżem jeszcze wspomnieniem znieprawionej szkoły rosyjskiej i z całym udręczeniem, które ona ze sobą niosła. Nienawidzić dla szkoły państwowej była odruchem zdrowego instynktu narodowego, przykazaniem moralnym siły samozachowawczej walczącego o swój byt narodu. Takie skojarzenia zapuszczają głębokie korzenie w dusze ludzkie i trzeba długiego czasu na to, aby tego rodzaju osady psychiczne ze świadomości ogółu znikły.

Z drugiej strony szkoła prywatna w Królestwie miała swoje specjalne walory ideowe. Wszak zadaniem jej było nie tylko kształcić i wychowywać młodzież, ale była ona tą ostatnią twierdzą, która broniła największego skarbu narodowego: duszy młodego pokolenia. Walkę tę prowadziła nie tylko wbrew własnym interesom materialnym, ale często

z podziwienia godnym bohaterstwem, zdobywając powszechny szacunek i poparcie.

Jeśli chodzi o poziom naukowy i pedagogiczny, to trzeba „wszystko zrozumieć, aby jej wszystko przebaczyć“. Nie jej wina bowiem, że chroniąc się przed zabójczą opieką ministerstwa oświaty w Petersburgu, wolała z dwojga złego poddać się pod mniej szkodliwą kontrolę ministerstwa handlu, a wskutek tego przyjąć pozory szkoły handlowej. Odbiło się to niekorzystnie na jednolitości kierunku i planu nauki.

Nie jej wina, że zmuszona przez władze rosyjskie do ciągłej walki obronnej, ogromną ilość czasu i energii traciła na wysiłki nieproduktywne. I nie jej wreszcie wina, że z powodu bojkotu uniwersytetu rosyjskiego nie było odpowiednio wykwalifikowanych nauczycieli. W każdym razie robiła wszystko, co w tych warunkach zrobić mogła i zapisała się w pamięci społeczeństwa jako typ szkoły narodowej, a nie przedsiębiorstwa prywatnego.

Trzecim wreszcie czynnikiem, który bezpośrednio wpłynął w Królestwie na stosunek do nowopowstającej szkoły państwowej polskiej, było to, co nazwano sumarycznie formalistyką, czy też biurokracją władz szkolnych. Nie tu miejsce na roztrząsanie kwestji: ile w tem jest słuszności, a ile przesadnej animozji. W każdym razie trzeba stwierdzić, że wielu wybitnych nauczycieli uważa pracę w zakładach prywatnych nie tylko za pewien akt osobistej niezależności, ale za obowiązek obrony niezależności szkoły. Przytaczano mi nawet takie dowody, że te szkoły prywatne, które zostały upaństwowione, pod względem poziomu ogromnie upadły.

Możnaby wprawdzie zastanowić się jeszcze, czy nie mamy tu przypadkiem do czynienia z odwróceniem problemu: z braniem przyczyny za skutek, a skutku za przyczynę. Ale niemniej jednak pozostaje faktem, że sympatje Królewaków są raczej po stronie szkoły prywatnej.

Zupełnie inaczej kształtowały się stosunki w b. zaborze austriackim. Tam od szeregu lat, od czasu ery konstytucyjnej szkoła przeszła faktycznie w ręce polskie i była taka, jakiem było tamtejsze społeczeństwo. Jeśli miała wady i braki, to wpływały one przeważnie z winy własnej Polaków. Nic tedy dziwnego, że uważano tam szkołę państwową za szkołę własną.

Co się tyczy szkół prywatnych to — z małemi wyjątkami — traktowano je li tylko jako przedsiębiorstwa prywatne, w najlepszym razie jako luksus dla uprzywilejowanych. Przyczyniała się do tego zwłaszcza i ta okoliczność, że nieliczne zresztą szkoły prywatne męskie przeznaczone były dla rozleniwionych i rozkapryszonych chłopców z arystokracji lub bogatego mieszczaństwa, a wskutek tego poziom ich pozostawiał rzeczywiście wiele do życzenia. Szkoły średnie żeńskie były zasadniczo lekceważone, jak zresztą cała sprawa wyższego wykształcenia kobiet. Toteż stosunek do szkoły państwowej i szkoły prywatnej przedstawia się tu wręcz przeciwnie, niż w Królestwie, to zn. że w Małopolsce zarówno nauczycielstwo, jak i społeczeństwo całe ceni wyżej szkołę państwową i niczego więcej nie pragnie, jak dostatecznej ilości szkół. Grają tu jeszcze pewną rolę dwa inne czynniki: z jednej strony przyzwyczajenie społeczeństwa do bezpłatnej nauki, a z drugiej tendencje nauczycieli do stałych, państwowych posad.

Co się tyczy dzielnicy poznańskiej, to tam znowu inaczej ułożyły się stosunki. Społeczeństwo tamtejsze nie miało przed wojną żadnego wpływu na sprawy szkolne. Zarówno bowiem szkoły państwowe, jak i nieliczne zresztą szkoły prywatne spoczywały wyłącznie w rękach niemieckich. Szkoły te nie różniły się od siebie zresztą niczem: ani organizacją, ani poziomem naukowo pedagogicznym, ani — co najważniejsze — duchem i tendencjami bezwzględnego wynaradawiania młodzieży polskiej. Społeczeństwo wielkopolskie nie miało więc żadnych danych do przekładania jednych z nich nad drugimi, natomiast miało wszelkie powody nienawidzenia ich zupełnie na równi. Usunięte od wpływu na sprawy szkolne mogło tylko bezsilnie zaciskać pięście na akty gwałtu i bezprawia, interesując się więcej duchem, niż organizacją i systemem szkolnym.

Toteż dziś, kiedy szkoła niemiecka znikła, nastąpił tam stan pewnego wyczekiwania t. zn.: niema wyraźnych objawów sympatji, ani też uprzedzeń w jedną lub drugą stronę. Jak narazie rozwija się tam więcej szkolnictwo państwowe, choćby dlatego, że rząd polski przejął wszystkie dawne, rządowe szkoły niemieckie. Szkół prywatnych męskich prawie niema, a i ilość szkół prywatnych żeńskich też jest stosunkowo niewielka.

CHRISTINA ROSSETTI

CHWILA MYŚLI

I

Szukałam czego niema — czego być nie może,
Próżne nadzieje serce goryczą zalały,
Lecz lata muszą przejść — młodości okres cały,
Nim zgasną złudzeń zorze.

Więc czekałam cierpliwie, długo i wytrwale
I choć cel sercu drogi oddalał się zwolna,
Wyrzec się moich pragnień nie byłabym zdolna,
Oślepla w mym zapale.

Czasem myślałam: tego nigdy już nie będzie,
moje życie za ciężkie, bezdennie mnie nuży —
Pragnę spokoju — nie chcę męczyć się już dłużej,
A żyłam dalej w błędzie!

Wszak imię puste tylko — myślałam czasami
Jest przedmiotem tęsknoty — Czyż całopalenia
Z życia mego wymaga dźwięk tego imienia?
I było tak latami!

O ty! szalona duszy! której nie pomogą
Ani radości zdrowe, ni zbawcze cierpienie,
W bezowocnym pościgu — wiesz, że gonisz cienie
A błędą idziesz drogą. —

II

Skończony sen, w którym się szczęście słodkie kryło
Sen, co był treścią życia długie, długie lato,
Biada mi! Serce śpiące oto się zbudziło
Słabe — a mocne w oczach świata.

O! po śnie drżącym prawdą bezlitosna jawo!
O! dobry śnie, po którym budzę się zgnębiona.
Za bezpodstawne złudy, jakże płacę krwawo!
Zostałam srodze zawiedziona!

Oto zamek wzniesiony marzeniami zburzę,
Przekopię w duszy własnej rozkoszy ogrody,
Śmiech zgaszę i w łzach gorzkich pokuty zanurzę,
Wyrzeknę się łatwej swobody!

Teraz oto najdroższe tajemnice moje
Grzechem — i grzechem tajne, młodzieńcze nadzieje,
Część duszy mej umarła, część goryczą poję,
A część jej złowrogo goreje!

Bezplodna myśl o szczęściu, które się nie ziści,
Prześladując do śmierci — spocząć nie da chwili
Północny wiatr zmiotł krasę i zieleń mych liści,
A słońce na zachód się chyli.

Lecz na ruinach zamku tych samych kamieni
Wzniosę pustelnię cichą zdaleka od ludzi
I tam się duch pogłębi, skupi i przemieni,
Dla świata więcej się nie zbudzi —

Tom inne grzedy powlew lekko zakolysze,
Tam zakwitną: tymianek i glogi dokoła,
Tam doleci mnie kiedyś — zasłuchaną w ciszę
Głos dzwonu, co do grobu woła.

PIOSENKA

(SONG)

Gdy umrę, ukochany,
Nie śpiewaj ty żałośnię
I niechaj nad mą głową
Smętny cyprys nie rośnie
Na grobie niechaj będzie
Wilgotna darń — od ros,
Pamiętaj... lub zapomnij...
Już taki sądzon los...

Nie mnie oglądać cienie,
Nie dla mnie chłodne deszcze,
Nie dla mnie pieśń słowicza,
Jej tęsknot słodkie dreszcze,
I śpiąc -- snem nieprzespanym
Przez mroki te ogromne,
Może pamiętać będę,
A może też zapomnę —

Przełożyła ZOFJA ROŚCISZEWSKA.

LIST Z POZNANIA

O kolei żelaznej, o wyspie Jawie, o pasorzytach chrabąszcza i innych t. p. osobliwościach przydługi wstęp. — Pobieżny szkic z Baedekera. — „Tu nigdy nie zabrmi polska mowa” — Legenda Bałtyku i „prawdziwe” morze na scenie opery poznańskiej. — Kilka zdań o muzyce, które autorka [feljetonu pozwala zmienić dowolnie. — Człowiek, który na kilku metrach kwadratowych zbudował Sewillę. — Dawid i Goljat, czyli artysta i krytyk. — Jak pracuje zespół w Teatrze Nowym. — Domek dla lalek. — „Spadkobierca” i „Madame sans gêne” na scenie Teatru Polskiego. — Cichutkie westchnienie do przeszłości. — Pożegnanie i zapowiedź nowego listu.

Wynalazki i ulepszenia w dziedzinie lokomocji postępują w XX wieku tak szybko po sobie, że kolej żelazna wydaje się nam już dzisiaj czemś powszednim, pospolitem i napewno nikomu nie przyjdzie na myśl podziwiać szybkości, z jaką gigantyczny wąż wagonów przewija się przez pola, gdy zionąca dymem i skrami paszcza jego połyka setki wiorst. I oto zdrożony potwór staje zadyszany, spotniały, sapiąc z zadowolenia, konduktor ogromnym głosem bełkocze nazwę stacji, a Ty, kochana Czytelniczko, budzisz się z drzemki i ze zdumieniem konstatuujesz, że jesteś już u celu podróży.

Jak w czarodziejskim kufrze z bajki, przebyłaś ogromne przestrzenie, setki wiosek uspionych, tysiące krzyżujących się dróg, po których człapią zbiedzone szkapiny, „spieszając się powoli” do jakichś nieznanych domów, gdzie nieznanymi ludźmi mają również jak Ty, swoje radości i troski, swoje kłopoty i rozrywki i tak, jak Ty, wiecznie czegoś szukają i za czemś gonią po kamienistych ścieżkach życia.

Wstęp, jak do staromodnej powieści. Obawiam się, droga Czytelniczko, czy nie doznasz zawodu, dowiedziawszy się teraz, że „wyżej wspomniany pociąg” zawiózł mię poprostu do Poznania i że stamtąd przysyłam Ci ten list. Feljeton z Poznania! Mój Boże! Gdybyż to był feljeton z Paragwaju, lub z wyspy Jawy, o której zeszłoroczny karnawał zostawił Ci zapewne wspomnienie tęsknych, egzotycznych melodyj, brzdąkanych na instrumencie, którego nazwa w polskiej pisowni brzmi bandżou, a ton przywodzi na pamięć ruską bałajkę.

A jednak stało się. List nosi stempel krajowy i nie zawiera żadnych rewelacji w żadnej dziedzinie. Na pociechę Tobie i sobie, przypominam, że pewien przyrodnik napisał wielkie dzieło o... pasorzytach chrabąszcza. Napisał pracę doktorską o czemś tak nikłym, tak nieznaczącym pozornie, że wobec tego nabieram odwagi i twierdzę, że każdy temat jest dobry, o ile jest tematem, zaś tematem do feljetonu może być wszystko. To

tylko jeden z młodych poetów naszych wykrzyknął, że świat dla niego jest pomarańczą. Dla innych istot, nie mówiąc już o pasorzytach chrabąszcza, pomarańcza może być całym światem.

Oto koniec wstępu numer drugi. Wstęp numer trzeci: Nie wyobrażaj sobie, o Pani, że zamierzam poinformować Cię stylem Baedekera, ilu mieszkańców liczy Poznań, w jakich kierunkach chodzą tramwaje i wiele metrów sześciennych wody, oraz gazu świetlnego zużywa tam przeciętna rodzina.

To, że w Poznaniu są domy, jak w każdym innym mieście, domyślał się zapewne sama. Że jest wiele gmachów, wartych nietylko widzenia, ale i podziwiania, poinformuje Cię każdy „przewodnik”, kupiony w pierwszej lepszej księgarni. Kościół farny, czarno-złoty ratusz z przślicznym wnętrzem sal, o których osobno możnaby napisać feljeton; zamek, gdzie cesarz Wilhelm wygłaszał „w dawnych, dobrych czasach” swoje płomienne przemówienia; Teatr Wielki zbudowany przez Prusaków z wyraźną tendencją, bardzo jasno sformułowaną w dewizie: „Tu nigdy nie zabrmi polska mowa”...

Nota bene — „oni swoje, a los mówi swoje”... Ten gmach jest właśnie żywą ilustracją sprawiedliwych wyroków Bożych. Dziś mowa polska rozbrzmiewa w nim — i to rozbrzmiewa w pełnym słowa znaczeniu — mieści się tam bowiem polska opera.

Otóż, stało się, że dojrzałam wreszcie do jądra sprawy. Gdyż właśnie o teatrach poznańskich pragnę pogwarzyć z Tobą, Czytelniczko miła, której cierpliwość wystawiłam już chyba na dostateczną próbę. Skoro była już mowa o operze — zaczynajmy od niej.

Premjera „Legendy Bałtyku” Nowowiejskiego była dla Poznania wielką sensacją jesiennego sezonu. Przedewszystkiem — nadwyzajna wystawa. Kosztem iluś tam dziesiątków tysięcy złotych polskich, osiągnięto efekty imponujące. W pierwszym akcie morze, (sprowadzono umyślnie aparat, szereg obracających się wałów) porusza się jak żywe... Drga, szumi, lądząco

prawdziwie jak w kozuchu z białej piany, rozbija się z pluskiem o brzeg, pełne alg, zaniesionych piaskiem; obraz tak naturalistyczny, że od sceny zda się płynąć rzeźwy powiew o słonym posmaku. Nie braknie też wspaniałych łodzi o zakrzywionych dziobach ptasich, sieci i wszystkich narzędzi rybackich, rozrzuconych w malowniczym nieładzie. Rybacy z pra słowiańskich czasów śpiewają arje o niebezpiecznych wyprawach swoich, o legendzie bałtyckiej, krążącej dokoła zatopionego miasta Winety i wreszcie — naturalnie — o miłości.

Nas, „galicjoków z kongresowy”, (jak powiedziałyby rodowity Poznańczyk) muszą z konieczności raz i chwila niektóre „znajome” melodie tych pieśni, włożonych w usta bohaterów z epoki Starej Baśni... Słyszemy bowiem najwyraźniej skoczną przyśpiewkę: „czyż, czyż, gdzie ty był? Na Kamczatkie wódki pił”, wkrótce zaś potem — o dziwo — dziewczica imieniem Bogna, zanuci tęsknie za odeszłym kochankiem: „Bałamute, wyjdź z chaty... Chcesz мене rozkochały”... Zdawaćby się mogło, że autor polskiej opery sięgnął nieco za daleko na wschód po „motywy ludowe.”

Poza tem drobnem nieporozumieniem, strona muzyczna „Legendy” przedstawia się nader ciekawie, a instrumentacja obfituje w momenty wprost świetne. Ten ustęp, Czytelniczko, możesz dowolnie skreślić. Pisze go laik, osoba, obdarzona jakim takim uchem, ale pozbawiona wszelkiej wiedzy fachowej w tym kierunku.

Natomiast, gdy chodzi o stronę dekoracyjną, — to inna sprawa. Tu czuję się na swoim gruncie i bez obawy, że brnę w niezasadnione komplementy, całym sercem wieszuję Poznaniowi takiego dekoratora, jak pan Jarocki. Każdy akt Legendy Bałtyku pod względem kolorystycznym rozwiązany jest świetnie, niektóre pomysły kostiumów (np. z pantominy na dnie morza) bardzo świeże i zdradzające polot malarski.

Drugim dekoratorem, któremu należą się wyrazy uznania, jest p. Kobryń. Na małej scenie sympatycznie

tycznego teatrzyku (Teatr Nowy im. Modrzejewskiej) dokonywa on wprost cudów i drwi sobie z utartych pojęć o przestrzeni, dając bogate perspektywy i „głębę” tam, gdzie kilku statystów bez trudu „robi tłum”, a od rampy do tylnej ściany jest cztery... no, nie przesadzajmy zbytnio: sześć kroków.

Teatr Nowy na wyżej opisanej scenie wystawił Don Juana Zorrilli, wielki dramat romantyczny, sztukę, wymagającą wielkich nakładów inscenizacyjnych, sceny obrotowej, a przedewszystkiem — przestrzeni. Teatr Nowy porwał się, jak Dawid z Pisma Świętego i zapalem bohaterkiej odwagi zwyciężył Goliata.

Wszechpotężna (jak wszędzie) oficjalna krytyka uchyliła czoła przed tym artystycznym wysiłkiem. Dyr. Rudkowski istotnie zmierzył „siły na zamiary, nie zamiar podług sił” — i wygrał, bo czyż może być inaczej tam, gdzie młodość i ukochanie sztuki podały sobie ręce? Dobra wola zespołu artystów Teatru Nowego przeniosła górę trudności na swoich barkach, przy pomocy tęczyowych skrzydeł poezji.

Poezja ta, krasną łuną bijąca z pięknego wiersza, ubarwia wszystkie szarzyzny braków i powoduje nastrój, bliźniaczo podobny do tego, z jakim każdy widz opuszcza wspaniały spektakl w Teatrze Narodowym warszawskim.

Teatr im. Modrzejewskiej istnieje od niedawna. Przez rok ubiegły zdołał już wykazać swą wielką siłę żywotną i umiejętność odtwarzania widowisk rzetelnie

artystycznych w warunkach nie arcyświetnych. Wśród ciasnoty, przy prymitywnym mechanizmie oświetlenia, przy szczupłej i w większości młodocianej trupie artystów, daje premierę co dwa tygodnie, czasem częściej. Ale też ludzie pracują tam! Każda trudność zdaje się wzmacniać ich zapał, każde osiągnięcie zwycięstwo potraja ich energię.

Z kolei, Czytelniczko droga, wprawdzam Cię do Teatru Polskiego. Ta mikroskopijna widownia, gdzie nie brak balkonów, galerji i łóż, przypomina raczej zabawkę dziecięcą, domek lalczyny, niż teatr dla prawdziwych, dorosłych ludzi. To też musi nam, starym dzieciom, sprawiać uciechę. Takie tam wszystko maciupęńkie, zupełnie, jak szufladki w kredensie lalczynym, gdzie z trudem da się pomieścić trzy ziarnka pieprzu i naparstek konfitur.

Cały ów teatr liczący 3 piętra, ma tylko 450 miejsc. Nie mogłam oprzeć się złudzeniu, że dobrze wyciągnąwszy ramię z mojej lo-



ży zdołam wziąć program, leżący na parapecie łoży przeciwległej. Naturalnie, było to tylko złudzenie. Przegradza nas kilku jegomościów, rozpartych w fotelach na parterze. „Trzy osoby w cztery rzędy”, a wrażenie tłoku, wywołane „przepełnieniem” balkonu (może ze 12 miejsc?) i łoż proscenjowych, gdzie napewno było więcej krzeseł, niż miejsc, a widzów niż krzeseł.

Dawano „Spadkobiercę” Siedleckiego. Tu koniec ze zdrobnieniami. Bowiem okazało się, że w tym lilipucim teatrze grają zupełnie prawdziwi artyści i to niebyłejacy. Chwilami obawiam się, (przez patriotyzm warszawski) iż ta przeziła, arcypolska komedia nie otrzymała na „pierwszej polskiej scenie” tak harmonijnej oprawy, jaką otrzymała w Poznaniu, dzięki starannej obsadzie najdrobniejszych, epizodycznych nawet ról.

W tym samym teatrze widziałam następnego wieczora „Madame Sans Gêne”, graną doskonale. Kochany, pocziwy Sardou! Jak to miło wśród obcych ludzi, w obcym mieście przeżyć nagle nanowo jedno z niezapomnianych wzruszeń dzieciństwa, kiedy to teatr zdawał się życiem realnym, a życie — tak często — najfantastyczniejszym teatrem!

Na tem kończę. Jeśli, kochana Czytelniczko, przebiegłaś jakoś ten list, pozwól, że Ci złożę ukłon głęboki wraz z zapowiedzią nowego sprawozdania z innych okolic, z miasta, drogiego wielu sercom. Tam bowiem od wieków obrała sobie siedzisko Królowa Korony Polskiej.

Wanda Miłaszewska.

G R A Z I A D E L E D D A

ZABŁĄKANE DZIECKO

Mateusz Morryo postanowił pozabawić się życia w lasku pod miastem.

Zrobiwszy testament, w którym ustanowił spadkobierczynią wszystkich sprzętów domowych starą służącą, a nieruchomości Szpital, wybrał się pewnego wieczoru na miejsce, w którym zamierzał skończyć życie. Wybrał drogi samotne i znalazł się rychło poza miastem. Był cudny wieczór jesienny; księżyc w swej pierwszej kwadrze świecił wysoko na przeczystym niebie, a przed Mateuszem, ponad czar-

ną wstęgą lasku, który zamykał krąg jasny, widno zachodziła błyszcząca mocno Wenus. Powietrze było ciepłe, niewyraźne szmery rozlegały się w przeczystym przestworzu, zdawało się, że to wiosna, taka słodycz cicha, jak w majowych, pięknych zachodach, drżała dokoła.

Mateusz pojmował pełną rozkosz życia, a zdając sobie dokładnie sprawę z zamierzonego czynu, bolał niewymownie, że nie ma już sił, by cieszyć się życiem. Zdawało mu się, że umiera już przed strza-

łem. Ażeby skrócić tę ostatnią mękę, którą widocznie los mu zsyłał, by przepelnić miarę olbrzymich cierpień już przeżytych, przyspieszył kroku.

Był sam o tej porze poza miastem: cień jego biegł przed nim, jakby mu wskazywał bolesną drogę. Gdy doszedł do lasku, Wenus zniknęła jak perła za małą gałązką, której liście rysowały się jasno w powietrzu. Mateusz wiedział i nie mógł powściągnąć pewnego niepokoju: od pierwszej swej młodości, pełnej marzeń, lubił i podziwiał

zawsze zachód Wenery, bardziej niż zachód słońca i księżyca.

Ten ostatni zachód, więcej niż cokolwiekbądź poza tem; przypomniał mu w ów fatalny wieczór niespodzianie wszystkie najdroższe wspomnienia całego życia. Wkroczył do lasku po równej ścieżce, którą księżyc oświetlał z góry. Ani jeden liść się nie poruszył; gałęzie wznosiły się i sterczały spokojnie, nieruchomo w przeczystem, jasnym powietrzu, zdawało się, że śpią, pograżone w marzeniu i niewysłowionej słodyczy.

Promienie księżyca przenikały je spokojnie i kładły srebrzyste plamy na cienkiej trawie, która wyrastała z pod zarośli. Zimna woń trawy, grzybów, opadłych liści wydzielala się i dawała wrażenie miejsc samotnych i cienistych. Ale nawet i tam, pod niebem coraz czystiejszem, pod jasnymi gwiazdami miało się wrażenie wiosny. Mateusz przebył ścieżkę kierując się do kamiennej ławeczki, na której spędził tyle chwil pogodnych. Tam właśnie zamierzał umrzeć. Przybywszy na miejsce, spostrzegł na ławeczce uśpione dziecko.

— O tej porze? Co to znaczy? — pomyślał zdziwiony.

Zbliżał się pocichutku, nachylił się, by lepiej zobaczyć. Malec, może czteroletni siedział w rozkosznej pozie, z nóżkami zwieszonemi, rączkami opartemi o ławkę i główką pochyloną na piersi. Był to śliczny brunecik, bogato ubrany. Miał białe buciki, czarne, krótkie pończoszki, haftowane spodeńki i błękitny fartuszek. Księżyc oświetlając wszystko, dawał nikły odblask błyszczącym, czarnym włosom i marmurową białość małym, tłustym łapkami. Mateusz przyglądał mu się długo, wstrzymując oddech, by nie zbudzić malca; a chociaż czuł niezadowolone z powodu wdzięcznej przeszkody, która niespodzianie stanęła pomiędzy nim a śmiercią, był rozczulony, podziwiając go.

Kim był ten mały? Czemu spał tutaj o tej porze? Czy to było dziecko zbłąkane, czy zapomniane, czy opuszczone? Czy było samo? Czy był ktoś tu w lasku, o tej porze?

Wyteżył słuch, zapuścił wzrok w cichą głębinę ścieżek i małych polanek, zalanych światłem księżyca. Cisza zupełna. Nic. Nikt. Co robić? Czy pójść w inną stronę lasku i umrzeć, nie zważając na obecność dziecka? Nie, to było niedopuszczalne. Wystrzał byłby zbudził i przeraził niewinną istotę i może ona byłaby pierwsza znalazła ciepłe zwłoki samobójcy. To byłoby wprost okrutne, przytem chęć dowiedzenia się, czemu malec tu się znajduje, instynkt zaopiekowania się niewinnym snem, pochłonęły całą duszę Mateusza. A więc umrze o jedną godzinę wcześniej, czy później choćby nawet jutro, cóż to znaczy.

Warto było przewlec agonję, by spełnić dobry uczynek, czuwając nad małym.

Usiadł na ławeczce, na brzegu zacienionym od gałęzi i czekał nadstawiając wciąż ucha na najmniejszy szmer, przyglądając się dziecku.

Rączyny zwłaszcza przyciągały jego wzrok; musiały być bardzo zziębnięte, te rączyny o krótkich, wydłużonych paluszkach. Chęć dotknięcia ich, ściśnięcia obu w swej prawej ręce ośmiadnęła Mateuszem; lękał się tylko przebudzić małego. Tymczasem czas mijał, nie było widać nikogo, a powietrze stawało się chłodne. To dziwne oczekiwanie, niepokój i ciekawość, pomieszana z jego smutnemi myślami zmęczyły rychło Mateusza. Postanowił obudzić dziecko, zapytać i o ile to możliwe, odprowadzić do rodziny. Wyciągnął rękę, cofnął i pomyślał z goryczą:

— Ostatecznie, co mnie to obchodzi? Czemu się wtrącam do sprawy, która mnie może narazić na nieprzyjemności? Nic mnie już nie łączy z życiem, ani ludźmi. Pójdę na przeciwległą stronę lasku; jeżeli nawet malec mnie odnajdzie, co mnie to obchodzi? Już przecież o niczem nie będę wiedział..

Przesunął ręką po twarzy.

— Litość? Obowiązek? — pomyślał twardo.

— Nie mam już co robić w życiu, a mieszanie się do tej sprawy, może tylko przedłużyć moją mękę.

Teraz, kiedy po tylu walkach, byłem zdecydowany...

Zbadawszy się głębiej, spostrzegł, że interesuje go śpiący malec, nie przez litość, ani obowiązek, ale że mu to sprawia przyjemność, przyjemność smutną i przykrą, to prawda, ale wyłącznie samolubną.

Poczucie żywotności przemawiało jeszcze przez niego. Myślał dalej:

— A więc, ponieważ to jest dla mojej przyjemności, niech się staje. Idę. Nic już, ani obowiązek, ani przyjemność, nic już nie powinno utrzymać mnie przy życiu.

Wstał szybko, żałując, że dał się pokonać romantycznej myśli, która mu nakazała zabić się w lasku.

— W domu o tej porze już byłoby po wszystkim...

Zatrzymał się chwilę i przyglądał mocno malcowi.

— A więc, tak, zbudzę go, niech się co chce stanie. — pomyślał, usiadł zaraz na ławce i trącił lekko małego. Malec zadrzał cały, podniósł główkę i otworzył szeroko duże, przerażone, ciemne oczy. Nie zapłakał i nie krzyknął.

Mateusz był dziwnie zakłopotany i nie mógł znaleźć wyrazów, by uspokoić niemi prerażenie dziecka. Ono przemówiło pierwsze, jękając się, starając uwolnić z objęć Mateusza, ześlizgnął z ławki i uciec.

— Puśćcie mnie.. puśćcie...

— Nie bój się, maleńki — powiedział, powstrzymując go. — Jam ci przyjazny. Słuchaj. Nie uciekaj, kochanie. Znalazłem cię śpiącego tu w lesie, samego w nocy, a że mogą być złe zwierzęta, więc cię obudziłem.

— Złe zwierzęta? A gdzie są? Zapytał mały kurczy się w sobie, drżąc trochę, nawet i z zimna.

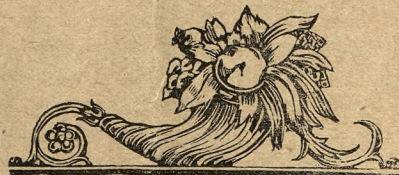
— Gdzie są? Czy są gdzie ukryte i wychodzą dopiero później? A jakie są?

— Są... są takie, jak jaszczurki, węże...

— Węzeł wykrzyknął malec rozbudzony zupełnie i pamiętający wszystko.

— Ależ u nas jest wąż, zielony, długi, ot taki, patrz. — Rączkami pokazał długość. Łapie myszy i zjada je.

(c. d. n.)



JOHN GALSWORTHY

JAK PIORUN...

(STROKE OF LIGHTNING)

3)

Rzeczywiście odprowadziłem Jessie Weymouth na okręt — nie łatwa była sprawa.

Za tydzień i ja wyruszyłem do Konstantynopola, po części dla tego, że obiecałem pani Weymouth, po części zaś dla tego, że nie mogłem pogodzić się z myślą o wym przyjacielu w szponach tej namiętności, bez zajęcia, prawie że bez pieniędzy.

Radolin'owie zamieszkiwali pewien stary dom na wybrzeżu, prawie naprzeciwko Rumeli Hissar. Złożyłem im wizytę, nie zapowiadając i zastałem Helenę Radolin samą. W tym pokoju pełnym tureckich rzeczy i półcieniów, wydała mi się zupełnie inna, niż na pustyni. Odzyskała swą bladość i znużenie, lecz twarz jej miała pewien określony wyraz, którego jej brakowało, gdy ją poznałem. Mówiła zupełnie otwarcie.

„Kocham go, ale to szaleństwo. Usiłowałam go wyprawić — nie chce odejść. Widzi pan, jestem katoliczką, — religja moja dużo dla mnie znaczy. Nie powinnam z nim odejść. Niech pan go zabierze ze sobą do Anglii; ja nie mogę patrzeć na to, jak on tu marnuje swe życie dla mnie“.

Przyznaję, że patrzyłem na nią, zadając sobie pytanie, czy rzeczywiście chodziło tu o religję, czy też o brak pieniędzy.

„Ach! pan nie rozumie“, rzekła. „Pan myśli, że przestrasza mnie nędza, na jaką byłabym z nim narazona. Nie! ja boję się zagubić swoją i jego „duszę“.

Powiedziała to w sposób niezmiernie wymowny. Zapytałem, czy go widuje.

„Tak, przychodzi tu. Muszę mu pozwalać. Nie mogę znieść wyrazu jego twarzy, gdy mówię: nie!“

Dała mi jego adres.

Zajmował pokój na poddaszu w małym, greckim hoteliku ponad Galatą — była to straszna rudera, którą obrał z powodu jej taniości. Widok mój nie zdziwił go, zdaje się. Ale ja przeraziłem się. Twarz jego, skurczona i porysowana, nosiła jakiś gorzki, strawiony gorączką wyraz, — który pogłębiał oczy, tak, że wydawały się prawie czarne. Długa choroba wywiera taki sam skutek.

„Gdyby mnie nie kochała, mógłbym to znieść. Ale ona mnie ko-

cha. Co robić, będę to znosił, dopóki mogę ją widywać; a ona przyjdzie, przyjdzie wreszcie do mnie“.

Powtórzyłem mu jej słowa, powiedziane do mnie. Mówiłem mu o żonie jego, o Anglii, — pozostawał nieczuły na wszelkie wspomnienia, aluzje i zaklęcia.

Pozostałem w Konstantynopolu miesiąc i widywałem go prawie codzień, ale nie poruszyłem go wcale. Po miesiącu nigdybym nie był poznał, że to ten sam Frank Weymouth, który wyruszył z nami z Mena House w dzień Nowego Roku. Jak on się zmienił! Udało mi się, przy pomocy mego znajomego z ambasady, zdobyć dla niego jakieś lekcje, — marne to było zajęcie, zaledwie wystarczające na życie. To też, obserwując mego przyjaciela dzień po dniu, uczułem nienawisć do tej kobiety. A jednak wiedziałem, że nie ulega namiętności jedynie z pobudek czysto religijnych. Rzeczywiście widziała ich potępione dusze, splecione w uścisku i krążące po czyszcju, jak dusze Paola i Franczeski na obrazie Watts'a. Można to nazwać zabobnem, czy inaczej, — w każdym bądź razie skrupuły jej były szczerze, a nawet, z pewnego punktu widzenia, zasługujące na pochwałę.

Co się zaś tyczy Radolin'a, to ten wyglądał tak, jakby się nic nie stało: równy i uprzejmy, jak zwykle, — miał może coś twardszego w wyrazie oczu i ust — to wszystko.

Rano w dzień mego odjazdu po raz ostatni wszedłem po cuchnących schodach na poddasze do mego przyjaciela. Stał przy oknie, spoglądając w dół na most — na ów tragiczny most Galaty, gdzie ślepi i chromi kupczyli, a może i dotąd kupczą, widokiem swych kalectw. Stanęliśmy obok siebie.

„Franku“, rzekłem, „tak dalej być nie może! Czy spojrzalesz kiedy — na siebie w lustrze?“

Żaden uśmiech nie może być bardziej gorzki, niż uśmiech, który kiedyś był słoneczny.

„Dokąd mogę ją widywać — mogę wytrzymać“.

„Przecie nie możesz chcieć, aby kobieta czuła, że zagubiła swoją duszę i gubi twoją? Jest najzupełniej szczerą w tem swoim przekonaniu“.

„Wiem o tem. Przestałem już prosić. Dokąd mogę ją widywać — to wszystko“!

To była manja!

Popołudniu wziąłem łódkę i popłynąłem do Radolin'ów. Był kwiecień — pierwszy prawdziwy wiosenny dzień, pachnący i ciepły. Drzewa w Rumeli Hissar były w pączkach, słońce zapalało na wodzie opalowe blaski. Całe to dziwne miasto meczetów i minaretów, zachodniego handlu i wschodniego żebractwa, przedziwnie ożyło w pierwszych wiosennych promieniach słońca. Dopłynąłem do przystani Radolin'ów i wysiadłem na brzeg. Wszedłem po stopniach, zielonych od omywającej je wody, i znalazłem się w ich małym ogródku. Po raz pierwszy wchodziłem z tej strony i przez chwilę stałem, rozglądając się. Na lewo była furka, ale aby się do niej dostać trzeba było przejść przed dużym oknem, sięgającym do samej ziemi, skąd nieraz spoglądałem ku Rumeli Hissar. Kroki moje po marmurowej drożce były przytłumione — a to, co dojrzałem w pokoju, nie pozwoliło mi nawet próbować przejść.

Helena Radolin siedziała bez ruchu na niskim fotelu, z rękami złożonemi na kolanach i wzrokiem, utkwionym w kaflową posadzkę, na którą padał promień słońca, Wsparty łokciami na fortepianie, stał Weymouth równie nieruchomy, jak ona, patrząc na nią. I tylko. Ale to wrażenie jakby zamartwionego życia, jakby zastygłej lawy, było straszne. Cicho wysunąłem się z powrotem do łódki i wypłynąłem na opalowe wody.

Nic więcej nie mam wam do powiedzenia w tej sprawie. Wkrótce potem wojna spadła na nas wszystkich. Słyszałem różne pogłoski, ale nic nie wiem pewnego. A jednak wydało mi się, że warto było zanotować to wspomnienie o tem „uderzeniu pioruna“ dziś, gdy ludzie się śmieją z takich „nonsensów“.

Koniec



HELENA CEYSINGERÓWNA

33)

D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e ś ć)

Koszule żołdackie leżały zawsze rozrzucone dokoła, na wypadek niespodziewanej wizyty inspektora więzienia, lub innego jakiego dygnitarza. W rzeczywistości szyła Wanda cienką, elegancką bieliznę, najpierw dla żony naczelnika i jego córek, potem dla wszystkich, po kolei, dam więziennych. A gdy zachciało im się i haftów, dla dokładniejszego zatarcia śladów drobnego nadużycia, uznano Wandę za chorą i przeniesiono do lazaretu, gdzie mogła haftować swobodnie dzień i noc.

Spełniała wszystko bez najlżejszych oznak niechęci, czy niezadowolonia. Była najcichszą, najposłuszniejszą, najspokojniejszą z różnolitego tłumu kobiet, zamkniętych w posępnym, żółtym domu, zięjącym nudą i brzydotą. Tu po ścianach cel i korytarzy, do połowy wysokości pomalowanych czarnym smołowcem, zdały się pełzać robaczym ruchem ciężkie troski i występki ohydne, niepoprawności beznadziejne, brud słów plugawych, i okropność zbrodni. Wszystkie choroby psychiczne zebrano i zamknięto tu razem, by się pożerały wzajemnie. Długie samotne wpatrywanie się w czarne ściany przyprowadzało niektóre kobiety do obłędu. Zwłaszcza zamknięte w „separatkach“, trzymane w ścisłym odosobnieniu dochodziły do ponurych widzeń. W czarnych, połyskliwych płaszczyznach ukazywały im się, jak w kryształach magicznym, dziwne twarze, fantastyczne postacie, straszliwe sceny. Z wrzaskiem nieludzkim rzucały się wtedy do drzwi i bijąc w nie pięściami, żądały otwarcia, wyzwolenia z pod władzy widziadeł.

Ale nie było dla nich wyzwolenia na ziemi!

Okna cel, przyległych do ulicy, zaopatrzone były w tak zwane „kosze“, z zardzewiałej blachy, które uniemożliwiały komunikację z miastem, tamując zarazem dopływ powietrza i światła. Mimo kosza, okienkiem takim wpadało w lecie trochę słońca.

W celach, przytykających do ogródka więziennego nie było koszów. Cztery małe szybki, umieszczone tak wysoko w murze, że trzeba było używać drabinki, by okno to otworzyć, i... krata... Była to strona północna, więc słońce nie zaglądało nigdy do wnętrza

wąskiej, głębokiej, wilgotnej celi. Jednakże w lecie, zapewne dzięki zieleni ogródka, umiało wyczarowywać w niej czasem jakiś półcień szczególny, interesujący, jakieś odmienne zabarwienie powietrza, rozkoszne dla wyobraźni, znużonej śmiertelnie jednostajnością i głodem wrażeń.

Najstraszniejsze były te cele w zimie. Od godziny trzeciej po południu schodził w nie mrok i stawał się tu panem; na pogiębione dusze, kładł szare pasma swoje i dusił. Po jakimś czasie wnoszono małą lampkę naftową i wtedy ustawało jego panowanie, ale za to poczynał działać magiczny kryształ ścian. Kto był wrażliwy na jego straszliwy czar, unikał spojrzeń na ściany.

Lecz na co patrzeć?!

Umeblowanie celi składało się z przytwierdzonego do podłogi stołu, dwu stołków drewnianych i t. zw. „legimaty“, żelaznego łóżka, przytwierdzonego do ściany, z naciągniętym, jak w hamaku płótnem. Legimatę składano na dzień i zamykano w taki sposób, że aresztantka otworzyć jej nie mogła.

W celach od ogrodu trzymano zwykle „polityczne“, lub poważniejsze przestępczynie „ogólne“. Pospolity motłoch więzienny miał cele duże na kilka lub kilkanaście osób. Tam było weselej. Tam odbywała się nieustająca wymiana plotek, stamtąd słychać było śmiechy i śpiewy. Tam wybuchały od czasu do czasu wściekłe kłótnie, bójkę na pięście i noże, których, nawiasem mówiąc, nie wolno było mieć w celi. Po takich bitkach ciężko poranione zapaśnice przenoszono do lazaretu na opatrunek. Znakomicie urozmaicało to życie.

Około godziny 7-ej z rana, w południe przed wieczorem, z pobliskiego kościoła dolatywał dźwięk dzwonów na „Anioł Pański“, o 8-ej wieczorem odzywał się z cytadeli głuchy huk działa. Między 10 a 11 w nocy niósł się po całym uspiołym już gmachu jęk zgrzytających w zamkach kluczy i tupot miarowy butów żołnierskich: „Pawierka!..“ Otwierano po kolei drzwi każdej celi i wpuszczano w głąb jaskrawy promień latarni, kierując go prosto na twarz śpiącej aresztantki, poczem klucznik zstawał u drzwi z zewnątrz, a żołnierz marszowym krokiem mierzył wzdłuż

cełę; doszedłszy do ściany wykonywał zwrot w lewo, i takim samym krokiem wychodził. Znowu zgrzyt klucza w zamku i oto masz poczucie pełni bezpieczeństwa! Strzegą cię rygle, kraty, zamki, warta wojskowa i te czarne mury i cała potęga niezmiernego imperjum..

...Nie wylecisz!..

Masz też poczucie swego znaczenia i ważności.

To dla ciebie cały ten aparat i ceremoniał wojskowo więzienny!... tym promieniem latarni patrzają na cię het z Petersburskiej stolicy wiecznie czujne oczy imperatora... patrzają, czy nie uciekłeś, groźny, wolny duchu!..

A teraz śpij, śpij ciężkim, pełnym mar, westchnień i łkań, pełnym, obecnego stale niepokoju, snem uwiązanego na łańcuch zwierzęcia!

Przyjdzie ranek, najlepsza dnia twojego pora; przyniesie z sobą ruch i niemądrą jakąś otuchę. Będzie szorowanie korytarzy i cel; potem dostaniesz śniadanie: gorącego barszczu miskę i kawałek razowego chleba.

Jedno i drugie będzie smaczne, barszcz okraszony skrawkami słoniny. Car bogaty! Więziennego ludu swego nie głodzi!..

A potem, wszystko zagłuszy praca!..

...Byłe nie myśleć! nie przypominać! nie szaleć!.. —

Od chwili „wyczytania“ wyroku twarz Wandy pokryła się śmiertelną bladością, a oczy stały się przepastne i z zielonawych — czarne. Ale po pewnym czasie oczy te uspokoiły się; nawet cień rumieńca wrócił na policzki. Leczyła ją praca, praca niezmordowana, od rana do wieczora, tak gorliwa, jakby z serca była podjęta, tak nieustanna, że aż zdumiewała otoczenie. Przerywał ją tylko kaszel, coraz cięższy, nabyty jeszcze podczas śledztwa, w wilgotnej ciemnicy.

Przeniesienie jej do lazaretu nie trudno było kaszlem tym usprawiedliwić. A w lazarecie największa, stosunkowo, panowała swoboda, najczęstsze były stosunki ze światem; tu dopuszczano czasem panie z Patronatu; tu pokój dla położnic i niemowląt miał okna na ulicę, niezasłonięte koszami. Przez okna te można było czasem wyrzucić, zobaczyć kogoś... ..wyrzucić „grypsankę...“ (c. d. n.)

Z CYKLU SYLWETEK

JADWIGA IWANOWSKA-ZALESKA

Parę tygodni temu odbył się w sali Konserwatorium koncert własny tej prowokująco śmiałej artystki.

— Jakto — w Filharmonii pierwszy występ Strawińskiego... cała Warszawa... I... pani ma... odwagę?... Czy nie lepiej odłożyć?...

Roześmiała się tym swoim pełnym wdzięku i pełnym optymizmu śmiechem.

— Mam odwagę. Nie odkładam nigdy...

I — mimo Strawińskiego — jej sala była pełna. Kwiaty, oklaski, wywoływanie bez końca.

Tak się zwycięża przeszkody. Tak nagina się życie do siebie, a nie siebie do życia. Tak — optymizmem, promiennym uśmiechem, wiarą w dobre jutro odpędza się chochoła niepowodzeń.

Ten uśmiech... Warszawa zna go dobrze. Szaleli za nim studenci dawnej „rosyjskiej“ Warszawy. Trzęsła się sala od oklasków, gdy młodzianka dziewczątka (miała lat 12 przy pierwszym występie) stała na estradzie i — zasypane kwiatami — siadało do brawurowych polonezów, Valses brillantes Szopena, rapsodji Liszta. A kiedy nie chciano puścić radosnego zjawiska, wracała do fortepianu. Krótka przegrywka. — Mazurki Szopena i deklamacja wierszy Ujejskiego.

Sto razy słyszała Warszawa „Terkotkę“, „Jego dotąd niema“, „Wiosnę“ i nigdy nie było jej dosyć. Młodzianka artystka musiała wydeklamowywać zawsze cały swój repertuar i kłaniać się bez końca i rozżalać salę radosnym swym uśmiechem.

Przez kilka lat występowała z drugą ulubienicą publiczności — Józefiną Szlezynierówną — czarodziejską odtwórczynią pieśni Szopena. Publiczność szalała podwójnie. Studenci warjowali. Sala trzęsła się. Kwiaty, deszcz kwiatów z galerji.

To były czasy, kiedy jakąś chwilę zbiorowej radości — jeżeli zabłysła — wyładować można było tylko w sali koncertowej lub teatralnej.

Wielką zasługą Iwanowskiej — Zaleskiej, że ją umiała rozbudzić w sercach, stężałych niewolą.

Dziecko Warszawy — wyjechała później w świat daleki — na Syberję. A za nią popłynął żywioł sztuki, pogoda czynu, żar duszy polskiej.

Nie wystarczały jej koncerty w wielkich miastach mrocznej północy. Rzucała w dusze polskich zesłańców, którzy całymi latami nie słyszeli mowy ojczystej, słowo polskie. Deklamowała figlarne teksty Ujejskiego do Szopenowskich mazurków i wdzięczne liryki Lenartowicza, Asnyka. Ale i to nie zaspokoilo żądzy czynu. Pokazać zesłańcom i — zruszczonym ich dzieciom prawdziwy świat polski — jego dom rodzinny, drobne swary, figlarne intrygi, a na dnie ich — tę duszę polską miękką i serdeczną, kłótliwą ale wierną, ojczyźnie zaprzędaną.

W okresie najtwardszego przesładowania i poniewierki wszystkiego, co polskie, J. Zaleska zdobywa pozwolenie na urządzenie teatru polskiego. Sama gra i wciąga na scenę tych, co jeszcze niezupełnie okaleczyli mowę rodzimą. Przesuwa się przed zesłańcami Fredro, Korzeniowski, Bałucki. Serca b. powstańców łopocą jak wiośniane jętki. Sala drży wzruszeniem i szloch. Przedstawienie zaszczycą sam pan gubernator i co najwyższe szarże.

Trwa to, dopóki utalentowana artystka o czarodziejskim uśmiechu dobrej wróżki jest na Syberji, w uniwersyteckim mieście Tomsku, gdzie pierwszy jej mąż był profesorem chemji.

Los przerzuca ją po kilku latach do Petersburga, gdzie też koncertuje, deklamuje wiersze polskie i urządza polskie teatry. Zastaje ją tam wybuch wojny. Biją serca polskie nadzieją wyzwolenia. Budzi się żywioł czynu. Każdy chce coś zrobić dla Tej, która zwartwychwstała. Tyciące potrzeb, celów, poczynań.

J. Zaleska urządza wielkie patriotyczne koncerty. Remigjusz Kwiatkowski pisze podniosłe wiersze, które ona deklamuje. Płyną z tego źródła fundusze na Macierz polską i na uchodźców. Powstaje z nich głównie szpital polski.

Rok 1917. Zmierzch Kiereńskiego. Wybuch bolszewizmu. Obowiązanie indywidualnego czynu, Pogńębienie woli jednostki. Tyranja w „imię dobra ludu“. Noc beznadziejna.

Któregoś dnia o zmierzchu — wśród głuchej ciszy — (stały tramwaje, samochody, dorożki) narazie telefon.

Cud? — Zawiesili je jednak bolszewicy. A jednak...

Głos znanego impresarja. Propozycja podróży artystycznej na wschód. Umówione warunki. Spotkanie na dworcu.

Z małą walizką, odprowadzona przez drugiego swego męża, artystę — malarza Mazurowskiego na kolej (1½ godziny pieszo) wyjeżdżała polska pianistka ostatnim pociągiem ambasady chińskiej do Władystoku.

Jakto? Tylko po telefonicznym porozumieniu się. — W paszczę szalejącej wojny, gdy nie było kąta na świecie wolnego od pogromów, mordów, bojowych zasadzek?!

Tak. W paszczę wojny. W otchłań niewiadomego jutra. Radosna wola czynu nie lęka się niczego.

Na Syberji bolszewicy. Ale w drodze proponują artystce koncerty w Tokio. Jedzie. Ma tam 18 występów — każdy z innym programem. Pierwszy koncert urządza vice hrabia Motono, ówczesny prezes gabinetu. Zjawia się dwór z całym światem dyplomatycznym i wysłuchuje, stojąc znanego poloneza, Szopena z tonu a, tej jakby Marsyljanki polskiej. Sypią się zaproszenia ze wszystkich miast japońskich. Daje 80 koncertów, których w zbożnym skupieniu słuchają Japończycy, co drugi z tekstem muzycznym w rękę, śledząc i kontrolując artystkę. Przepadają za Szopenem i Lisztem, St. Saënsa i Debussy'ego rozumieją mało, najmłodszych kompozytorów — wcale.

Lecz nie wolno Polce zapominać o kraju swoim. Pisze odczyt o Polsce. Ktoś tłumaczy go na angielski. Każdy koncert w 80 miastach japońskich poprzedza konferencja o tym zakątku świata, który wówczas identyfikowano z Rosją. „Czego by nie dokazał najwybitniejszy mąż stanu, ani żadne księgi i publikacje, to zrobiła dla propagandy polskości artystka polska. Żywem słowem i żywym dźwiękiem uczyła o Polsce najpotężniejszy dziś militarnie naród świata“ pisze A. Nowaczyński w Tyg. Ilustrowanym z dn. 10/IV 1920 r.

J. Zaleska dotarła do takich środowisk japońskich, w których nigdy przedtem nie był Europejczyk. A z Japonji dalej na wschód, ku temu niewiadomemu jutru, z tym samym uśmiechem, który jest jak tarcza przeciw złemu. Więc — wiel-

kie porty chińskie, później wyspy Borneo, Celebes, Jawa, Sumatra — w sumie 280 miast najdalszego wschodu. W Hong — Kong pozna- je żonę następcy tronu Sjamskiego, która ją zaprasza do swego kraju.

W Bangkoku, jak zresztą wszę- dzie — jak w Indochinach francus- kich, w Indjach holenderskich, na Filipinach, w Singapurze — ma czarujące wieczory. Kwietna droga. Bajki egzotycznego przepychu. Entuzjazm. Prasa na usługi. Portrety. Zachwyty sprawozdawców.

W Batangos na Filipinach gra dla armji amerykańskiej, składają- cej się przeważnie z murzynów. Ostrzeżono ją, że wyrazem zach- wytu „czarnych“ jest gwizdanie, jak u nas oklaski. Gwizdali murzy- ni, aż trzęsła się sala i jedyne w niej krzesło — to, na którym przy fortepianie siedziała artystka. Ca- łą audytorjum zaś „Buddha fas- hion“ na ziemi.

Powrót do Europy nastąpił przez Holandję, gdzie kilkakrotnie kon- certowała w Hadze przy specjal- nem poparciu dworu królewskiego. Poprzedził ją tam rozgłos koncer- tów zagranicznych — w Paryżu, Londynie, Rzymie, Turynie, Wied- niu i Berlinie, gdzie występowała jeszcze na parę lat przed wojną, wszędzie zapoznając obcych z mu- zyką polską.

Wyjechawszy z małą ręczną wa- lizką, w której było trochę bieliz- ny i dwie suknie wieczorowe, wró- ciła z dziewięcioma szczelnie wy- ładowanymi kuframi.

Wróciła do wyzwolonej już Pol- ski. Był koniec 1921 r. Prężyło piersi jeszcze to bezprzykładne na- pięcie, z jakim żołnierz polski, a za nim — na tyłach armji — dziec- ko, starcy, młodzież, kobieta spra- wili „cud nad Wisłą“. Huczały w uszach jeszcze salwy niepojętego zwycięstwa. Na ód upijał się wspo- mnieniem, patrzył sam w siebie i pytał: „prawda to, czy sen?“. — Nagła potrzeba łączenia się, nagły szal zabaw opanował wszystkich. Urządzano bale, rauty, wieczor- nice.

Z ramienia „Koła Polek“ przy- stąpiła J. Zaleska do zorganizowa- nia dla członków stowarzyszenia 24 koncertów w sali Klubu Artys- tycznego — każdy poświęcony spe- cjalnie muzyce polskiej. Przesunął się Szopen, Paderewski, Niewia- domski, Szopski, Szymanowski. By- ły wieczory Konopnickiej, Asnyka, Tetmajera z ilustracją muzyczną do poetyckich utworów. Zdarzało się, że żyjący kompozytorzy i au- torzy byli na sali, a słuchacze wy- prawiali im owacje. Temperament, werwa i ten wiecznie pogodny uś- miech organizatorski ożywiał salę.

Minął rok 1921. Społeczeństwo

po dniach odurzenia zaczynało ro- zumieć, że trzeba wrócić do twar- dej pracy dla odbudowy państwa, żeby nie zwałił go na nowo wróg. Stał się każdy przy swoim war- sztacie.

Nasza artystka — dziecko War- szawy, jakkolwiek urodzona w Ka- liszu i nieraz długo nieobecna — osiadła na stałe w stolicy Rzeczy- pospolitej i prowadzi wraz z sio- strą swoją, p. Zofją Iwanowską — Ossendowską, znaną, utalentowaną skrzypaczką, Szkołę Muzyczną, któ- ra wydała już kilka talentów.

Parę razy do roku wyjeżdża za granicę — do Francji, Włoch, Ho- landji. Paryski Excelsior z 22 mar- ca r. ub. przynosi entuzjastyczny wy- wiad z pianistką. Zachwyty — po za talentem budzą jej niezwykle tu- rystyczno-artystyczne przygody i ta radość, ten jasny uśmiech na us- tach jej.

Jest wiersz programowy Longfel- low'a, amerykańskiego poety. Bunt przeciw pessimizmowi, przeciw opuszczeniu rąk w poczuciu nicości życia. „Sztuka jest długa, czas przemija, a nasze serca, choć silne i dzielne — wciąż, jak przysłonięte bębny biją w takt marszów pogrze- bowych aż ku mogile“.

J. Zaleska należy do tych wy- jatków, których serce bije dla ży- cia, dla szczęścia. Co złe — zamy- ka w sobie i kryje głęboko.

Jednak...

Dawna Warszawa zna barwną, żywiolową, pełną temperamentu i rztkich efektów grę artystki — bez lirycznych sentymentów. Dziś — w kantilenach jej płacze to, nad czem nie pozwoliła rozrzewniać się sercu swojemu. Każdy jej koncert otwiera jakąś nową głębię przeżyć, o których nie mówią uśmiechnięte usta. Szlocha dusza jej w marszu żałobnym z sonaty Szopena. Żegna nim niejedną drogą istotę, a mo- że — i jakieś niespełnione sny swo- je. Został temperament, koloryt, żywioł. Ale... ponad wszystko.. gó- ruje dziś smutek, któremu nigdy nie pozwoliły wypowiedzieć się usta.

C. Walewska.

REFLEKSJE

Antyfeminiści twierdzą, że ilość nienormalnych kobiet w szpitalach Finlandji wzmogła się od czasu, gdy w kraju tym zostały kobietom nadane prawa polityczne. Jest to nowy powód do uciechy antyfemi- nistów. — O, mieliby oni tych po- wodów dużo więcej, gdyby chcieli zadać sobie trochę trudu i podpa- trzyć życie kobiece. Oddawna już stwierdzono np., że zdobywszy równouprawnienie w pracy, kobie- ty zdobyły je także w neurastenji, chorobie, która przedtem była przywilejem męskim.

Dlaczegoż to neurastenja, naogół u kobiet rzadka, wśród kobiet pra- cujących zawodowo dorównywa męskiej. Dlaczego udział w życiu politycznem zwiększa ilość chorych umysłowo kobiet. Czy wskutek te- go, że nie stosują ekspansywnej metody „laski i pięści“ rzeczywicie „energja parlamentarna rzuca im się na mózg“.

Zdanie to uchyla rąbek prawdy: kobiety wesły do gotowej, nie przez nie i nie dla nich odlanej formy, i forma ta nieraz bardzo je gniecie, aż dostają moralnych od- cisków, — takich, z gatunku naj- bardziej dokuczliwych. Żeby się antyfeminiści za długo nie cieszyli, trzeba zmienić formę, jakoś ją roz- luźnić. Może na razie nie formę pracy, bo to mniej od nas zależy, ale formę życia, bo przeciw całość życia składa się na wyczerpanie nerwowe pracującej kobiety, a spe- cjalnie matki. Mężczyzna — polityk, społecznik, zawodowiec — jest pa- nem stworzenia. Kobieta, pracują- ca z nim narówni, jest sługą stworzenia.

Pan stworzenia wraca do do- mu dla odpoczynku, kobieta — do pracy jeszcze cięższej.

Obowiązków swych kobiecych, przedewszystkiem obowiązków ma- tki, wyrzec się nie powinna i nie chce, lecz musi swe życie domowe ukształtować inaczej: z niewolnic- stwa się jego mądrą panią, archa- iczne formy zamienić na nowe, instykt dopełnić rozumem, szar- panie się jednostki zastąpić zbior- rowym, zorganizowanym wysił- kiem.

Nikt na tem nic nie straci, a ileż się zyska! Przedewszystkiem kobie- ta zyska możność moralnego i wy- dajnego życia, które zamiast choroby nerwowej da jej we- wnętrzne zadowolenie i równowagę ducha.

Dr. Z. G.



FOYER INTERNATIONALES DES ETUDIANTES W PARYŻU.

Istnieje w Paryżu placówka, która dzięki swej miłej atmosferze uprzyjemnia życie wielu studentkom kształcącym się w Paryżu.

Jest to właśnie Foyer International des Etudiantes, instytucja założona w roku 1906 przez Angielkę p. Whitney Hoff

W dzielnicy łacińskiej, tym mózgu Paryża, gdzie znajdują się niemal wszystkie wyższe uczelnie, gdzie co krok widzimy księgarnię — gdzie koncentruje się całe życie studentek, przy Bulwarze St. Michel № 93 znajduje się ładny dom z ogródkiem, przeznaczony dla przygarnięcia studentek, przybywających ze wszystkich stron Europy, a nawet z poza Europy dla studjów do Paryża.

Wiedzą wszyscy o tem, jak ciężkie jest życie studentki, która przyjeżdża z prowincji, czy zagranicy, często nie znając nikogo, czasami bez środków materialnych. Trudności mieszkaniowe, smutek i brzydota pokoju hotelowego wpływa wprost przygnębiająco na studentkę — samą wśród obcych.

Obiady w tanich restauracjach, wśród chaosu, gwaru, wszelkiej publiczności — to doprowadza do neurastenji.

Foyer ma więc zamiar tym wszystkim samotnym dać to, co im dawała rodzina: pewien komfort materialny, ciepło, światło, zdrowy posiłek, a pozatem wszystkim co jest najważniejsze — zdrowe środowisko, młode i wesole.

Tym, które strząsają się z melancholji i samotności — Foyer daje możliwość pracy umysłowej, rozszerzania horyzontów w dziedzinie ducha i myśli.

Foyer stoi otworem dla studentek wszystkich narodowości, poglądów politycznych czy religijnych. Studentki wszystkich stron świata komunikują się tutaj ze sobą, poznają języki, obyczaje, zaprzyjaźniają się ze sobą.

Foyer posiada bibliotekę, zawierającą 3000 tomów, jest tam cicho, przytulnie, elegancko i ciepło.

Pozatem Foyer ma 3 salony, jeden z nich rodzaj oszklonej werandy z koszykowymi meblami. Tam znajdują się dzienniki i tygodniki — w drugim salonie studentki grają na fortepianie, przyjmują gości, w trzecim, po śniadaniu w południe piją kawę, a o 5-jej herbatę.

Urządzenie jest miłe, przytulne, czyste, dywany na podłodze, zawsze świeże kwiaty w wazonach.

Latem Foyer urządza wycieczki za Paryż, członkinie Foyer mogą korzystać z klubu tenisowego.

Pozatem Foyer organizuje kursa językowe, kursa literatury, jakie tylko studentki życzą sobie.

W Foyer jest restauracja, gdzie za 4 franki można zjeść skromny, ale zdrowy obiad.

Pozatem jest pensjonat na 300 osób i jest regułą, aby nie było studentek jednej narodowości — chodzi o to, aby utrzymać międzynarodowy charakter tej instytucji.

Członkinie Foyer są zabezpieczone w razie choroby, dostają też bezpłatnie lekarstwa — mogą, za zapłatą 1½ franka kąpać się w łazienkach, należących do lokalu Foyer oraz korzystać z fortepianu dla lekcji muzyki.

Ponieważ niejedna studentka musi zarabiać na życie, jednocześnie kształcąc się, z inicjatywy Foyer powstała Kooperatywa pracy — członkinie szyją, haftują, robią batici, a jeden ze sklepów przyjmuje te roboty na sprzedaż.

Raz do roku 1 grudnia urządzą członkinie Foyer wente. Wygląda to bardzo barwnie; wszystkie w narodowych strojach sprzedają w kioskach wyroby narodowe — a kooperatywa pracy ma również swoje miejsce na tej uroczystości.

W tym roku członkiniami Foyer są 23 Polki, pozatem reprezentowane są 33 narodowości.

Najwięcej jest Francuzek, Angielek, pozatem są Bułgarki, Czeszki, Chinki, Japonki, Włoszki, Hiszpanki, Belgijki, Szwajcarki, Szwedki nawet Greczynki, Australijki.

Dla nas Polek, które jesteśmy członkiniami Foyer nadarza się dobra sposobność do propagandy.

Ani Francuzi, ani Anglicy nie mają przeważnie pojęcia o Polsce, sły chać nieraz zapytanie, czy Polska to to samo co Rosja — nie znają ani jej historii, nie zdają sobie sprawy z tego, że Polska jest państwem małym mniejszym od Francji.

My tutaj w Foyer, stykając się z koleżankami innych narodowości możemy mówić, opowiadać o Polsce, budzić zainteresowanie w chęci poznania tego kraju — ma to wprost znaczenie międzynarodowe.

Dzięki stabilizacji waluty polskiej, otworzyła się nam możliwość wyjazdu zagranicę na studia, gdzie jest taniej i łatwiej żyć. Pamiętajmy jednak, że udając się na zachód

mamy obowiązek nie tylko czerpać tutaj potrzebne nam wiadomości, nie tylko myśleć o studjach — my musimy rozpowszechniać wiadomości o Polsce, informować ludzi zachodu, że Polska jest państwem kulturalnym, państwem europejskim, które na wschód zawsze niosło cywilizację, a obecnie stoi murem silnym — broniąc Europę od bolszewickiej Rosji. Niech więc jak najwięcej młodzieży jedzie na zachód dla swego dobra i dla dobra naszego Kraju.

H. F.



PIĘKNY OBYCZAJ.

W Bułgarii istnieje dawny, tradycyjny zwyczaj uwalniania w dzień Nowego Roku (t. zw. „Święto Kółdy”) więźniów, odsiadujących karę za mniejsze przestępstwa. W tym roku rząd bułgarski postanowił znieść ten obyczaj, wobec czego redakcja pisma kobiecego „Wiestnik na Żenata” zwróciła się do władz rządowych z prośbą o utrzymanie wiekowej tradycji i zwolnienie w Rok Nowy chociażby części więźniów — tych, których kara jest już na ukończeniu.

REWOLUCJA W OPERZE.

„Equal Rights” donosi o projekcie wystawienia w Berlinie opery młodej kompozytorki, p. Ethel Legińskiej. Dzieło to nosi nazwę „Pierścień i Róża” i osnute jest na tle znanej powieści Thackeray’a pod tym samym tytułem.

Osobliwością tej opery ma być całkowita zmiana dotychczasowego sposobu grania i wystawiania dzieł podobnych. Mianowicie role sceniczne mają być oddzielone od ról śpiewanych i wykonywane przez odrębnych artystów. W akcji, toczącej się na widowni, brać będą udział artyści dramatyczni, posiadający odpowiednie warunki sceniczne, role zaś śpiewane wykonywać będą śpiewacy, ukryci w kulisach.

Kompozytorka, wprowadzając tę innowację, miała na celu, jak o tem pisze w jednym z pism muzycznych „zerwać z dawną tradycją operową, nakazującą śpiewakom grać

jednocześnie role sceniczne, do których nie posiadają absolutnie żadnych warunków zewnętrznych. Wszyscy znamy ten efekt komiczny, jaki wywołuje widok otyłego, niemłodego tenora, gestykulującego szeroko rozstawionymi rękami na przodzie sceny, która to produkcja ma wyobrażać scenę miłosną, a sam śpiewak — wedle libretta sztuki — jest pięknym, młodym amantem o pełnej wdzięku powierzchności! Czas już zerwać z temi humorystycznymi zwyczajami. W mojej operze będą występować zdolni i odpowiedni do swych ról aktorzy, partje zaś wokalne obejmą słynni śpiewacy, i w ten sposób całość razem z orkiestrą będzie tworzyła zespół harmonijny, nie obrażający zdrowego sensu i smaku artystycznego publiczności.

MODA PRZYCZYNĄ ROZWODÓW.

Żadna chyła moda na świecie nie wywołała tylu dyskusyj, namiętnych sprzeciwów, ba! nawet katastrof rodzinnych, jak dzisiejsza manja obcinania włosów. W Ameryce zwłaszcza, kraju gdzie wszystko przybiera formy bardziej gwałtowne, niż w naszej starej i „zblazowanej” Europie, moda obcinania włosów powoduje istne burze rodzinne, kończące się często — rozwodem.

Tak jest! do grona licznych powodów, skłaniających małżeńską parę amerykańską do tak rozpowszechnionego obecnie rozwodu, przybył jeszcze jeden, bodaj najpospolitszy w tej chwili „moja żona obcięła sobie włosy”. No i pokrzywdzony małżonek otrzymuje rozwód — a żona szuka nowego męża, takiego, któremu by się podobaly krótko obcięte włosy...

Jeden z takich przeciwników krótkich czuprynek ogłosił niedawno list otwarty p. t. „Dlaczego nie zgadzam się na to, aby moja żona obcięła sobie włosy”. Oto są jego argumenty:

„Szanowne Panie! (mówię tu, oczywiście, do tych Pań, które jeszcze nie zdążyły zapoznać się z fryzjerskimi nożycami). Chciałbym Wam powiedzieć, dlaczego nie zgadzam się na to, aby moja żona obcięła sobie włosy. Sądzę, że mój punkt widzenia podziela jeszcze wielu, bardzo wielu mężczyzn — tylko nie wszyscy będą mieli odwagę tak szczerze wam to wypowiedzieć, jak ja to w tej chwili czynię.

O, bo niełatwa to rzecz — powiedzieć szczerze prawdę w oczy własnej żonie. Wiem ja coś o tem.

Przez dziesięć lat naszego małżeńskiego pożycia hołdowałem przekonaniu, że każdy człowiek (a więc i moja żona) powinien robić to, co sam chce i jak chce.

Dziesięć lat z rzędu żona moja była „panią domu”. Ona zarządzała kasą; ona kupowała meble i „urządzała” mieszkanie; ona wybierała mi krawaty i decydowała o kolorze mojej marynarki; ona rozstrzygała kwestję miejsca pobytu na letnich wyjazdach; ona nadawała imiona naszym dzieciom; ona.. lecz pocóż wyliczać? Jednym słowem — ona rządziła całym naszym domem, nie wyłączając i t. zw. „głowy domu”.

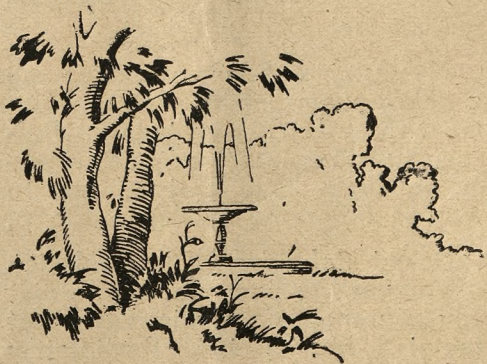
Mnie przypadała tylko rola nędznego robaczka, pszczołki — robotnicy — dostarczyciela funduszy na prowadzenie tego domu.

Ale wszystko na świecie ma swoje granice. Skończyła się i moja cierpliwość. Zbuntowałem się. Tak! zbuntowałem się. Nie pozwolę, aby moja żona obcięła sobie włosy.

Dlaczego? — zapytacie ze zdumieniem. Odpowiem na to.

Nie chcę, aby moja żona narażała na śmieszność siebie — i mnie.

Zastanówcie się tylko. Jestem człowiekiem — powiedzmy — w średnim wieku. Żona moja nie ma również lat osiemnastu. Krótkie włoski są bardzo ładne, bardzo miłe, nie zaprzeczam, ale... gdy się ma wiek i wygląd podlotka. Kilka dni temu spotkałem na pewnym zebraniu towarzyskiem mego kolegę, który się ożenił o kilka lat wcześniej ode mnie. Żona jego, w krótkiej sukience, z bardzo utlenioną, bardzo u fryzowaną czuprynką, otoczona wieńcem młodych ludzi, szczebiotała i rzucała się, jak najbardziej dziecinny podlotek. Żal mi było biedaka, który nie wiedział poprostu, co ma zrobić ze swą zakrągloną, podtatusiałą figurą i ze swą zdradliwą łysinką...



Nie potępiam bynajmniej żony mego przyjaciela. Zachowywała się tak jak musiała. Poprostu wymagał tego typ, który jej narzuciła obecna moda krótkich spódniczek i włosów. Moda ta pociąga za sobą konieczność grania roli rozpieszczonego, swawolnego dziewczątka, rozgrymaszonego „enfant terrible”. Nie mogę powiedzieć, żeby wszystkim paniom było w tej roli bardzo do twarzy...

Na miłość Boską, kochane Panie, nie poddawajcie się terrorowi mody! Jestem głęboko przekonany, że w gruncie rzeczy żadna z was (mam tu na myśli poważne panie, żony i matki, nie zaś młodzieńskie panienki) nie ma najmniejszej ochoty poddać się operacji ucięcia warkoczy, która to operacja była w dawnych wiekach uważana za hańbiącą i stosowana jedynie do kobiet... lekkich obyczajów. Nie! Ja wiem, że to tylko epidemiczny wpływ mody. Jedna pani mówi do drugiej:

„Wiesz, Marjetko, byłam dziś w kinie. Powiadają ci, jaką przesyłniczną główkę ma ta Gloria Swanson! Wyobrażam sobie, jakby ci cudownie było w tem uczesaniu!”

„Doprawdy, tak myślisz, kochanie?” szczebiocze tamta, rozpromieniona. „Chciałabym spróbować — ale się boję — co Janek na to powie! Może się będzie gniewał?”

„Ależ nonsens — zobaczysz, jeszcze bardziej mu się będziesz podobala!”

I idą do fryzjera. Marjetka wraca do domu, ostrzyżona jak pudelek. Przyrządza smaczną kolację, aby ułagodzić męża. Gdy ten, spożywszy dary Boże, sięga po gazetę i papierosa, ona zdejmuje koronkowy czepeczek i pyta:

„Jakże ci się podobam w tem uczesaniu?”

Jeśli mąż jest człowiekiem łagodnym i miękkiego serca — współczuje jej. Jeśli posiada żywy temperament — sprawa kończy się w sądzie rozwodowym.

Tosamo mogłoby grozić i naszemu małżeństwu. Ale żona moja jest kobietą rozsądną. Żyjemy ze sobą, jak już mówiłem, dziesięć lat i przez ten czas robiła wszystko, co chciała. Zdaje mi się więc, że w tym jednym, jedynym wypadku pozwoli mi mieć swoje zdanie i nie narazi naszego związku na rozerwanie — dla przyjemności obcięcia sobie włosów.

A zresztą, kto wie? Kobiety są tak nieobliczalne!”

Z. B.

WYCHOWANIE FIZYCZNE I ŻYCIE SPORTOWE KOBIEC

WARSZAWSKI KLUB WIOŚLAREK

Warszawski Klub Wioślarek jest najstarszym i jak dotąd jedynym w Polsce sportowym klubem, wyłącznie kobiecym. Poza Klubem Wioślarek kobiety należą do klubów mieszanych, gdzie tworzą tylko sekcje mniej lub więcej samodzielne.

Przypuszczam więc, że dla osób, interesujących się choć trochę sportem kobiecym, będzie ciekawym zapoznać się najogólniej zresztą z dziejami tego klubu.

W roku 1911-ym, a więc w czasie gdy zrozumienie potrzeby podniesienia stanu fizycznego ludzkości i zamilowanie do sportów i gimnastyki zaczęło się już silnie przejawiać wśród młodzieży naszej, z inicjatywy p. S. Hannówny i p. W. Stokowskiej powstał wśród kilku pań plan założenia kobiecego klubu sportowego.

Trudności, jakie rząd rosyjski stawiał wszelkim poczynaniom gimnastyczno-sportowym, bojąc się czegoś, choćby najslabiej przypominającego, czy też mogącego stanowić zaczątek organizacji wojskowych, sprawiły, że można było założyć klub wyłącznie wioślarski, wobec tego, że istniało już uznane i zalegalizowane Warszawskie Towarzystwo Wioślarzy.

Istotne dążenia inicjatorek nie ograniczały się jednak, jak to wiadać z dalszego rozwoju klubu, wyłącznie do wioślarstwa.

W roku 1911-ym poprzednio wspomniane panie wraz z pp. Prawdnic-Kuczalską, Olendzką i Szanterówną podjęły pracę nad ułożeniem statutu, który w marcu 1912 r. oddano do zalegalizowania. Za cel Klubowi stawiał statut jak najszerszą działalność w kierunku podniesienia rozwoju fizycznego kobiet przez szerzenie sportów wogóle, a w szczególności wioślarstwa. Działalność Klubu miała się rozciągać na całe Królestwo Polskie.

Pierwsze ogólne zebranie odbyło się dn. 25. IV. 1912 r. i wybrało Zarząd z przewodniczącą p. Stokowską; dn. 20. X. nastąpiło uroczyste otwarcie lokalu zimowego.

Z nadejściem wiosny 1913 r. klub nabył przystań i dwie łodzie. Wtedy zaczęło się naprawdę życie sportowe.

Wobec braku fachowego doświadczenia sportowego wśród członkiń klubu, zaproszony został do współ-

pracy starszy sternik W. T. W. p. Barcikowski, który udzielał wszelkich rad i wskazówek z dziedziny sportu samego.

W pracach przygotowawczych przy organizowaniu klubu brało udział kilka zaledwie osób, w pierwszych miesiącach istnienia ilość członkiń wynosiła zaledwie 30 osób, w roku 1913-tym wzrosła do stu kilkudziesięciu, a przed wybuchem wojny przeszła już 200.

Zarząd w osobach swych przedstawicieli zaczął niedługo występować i na zewnątrz, poza ramy samego klubu, brał udział w komisji regatowej międzyklubowej, przyłączał się do wystąpień innych stowarzyszeń kobiecych o charakterze społecznym, delegacją klubu była na zlocie wioślarskim w Kaliszu.

Rozmach, z jakim młody klub, wziął się do pracy, rokującej jak najlepsze nadzieje, został w samym prawie początku brutalnie wstrzymany przez wybuch wojny światowej.

Bez chwili wahania, kobiety zgrupowane dokoła klubu, przerzucają się do pracy społecznej, wskazanej nakazem chwili.

Życie klubu nie zamiera, zwraca się tylko w zupełnie innym kierunku.

Jedne z członkiń z prezeską na czele biorą czynny udział w Polskim Komitecie Sanitarnym, inne zajmują się założeniem „Ogniska im. Wioślarek dla dzieci Powiśla”.

Skutkiem zarekwirowania przez Niemców przystani oraz skutkiem ciężkich warunków życia codziennego, liczba członkiń z biegiem wojny zmniejsza się do 70-ciu, życie sportowe zamiera zupełnie.

Mimo to żyte już i wierne swym celom pozostałe członkinie nie opuszczają klubu, organizują odczyty, chóry, wycieczki piesze, uprawiają gorliwie gimnastykę pod kierunkiem p. Nowackiej. Starają się same nie upaść na siłach i nie dać się rozpaść klubowi.

Nowo wybrany w 1915 r. Zarząd pod przewodnictwem p. dr. Budzińskiej-Tylickiej wobec bardzo trudnej sytuacji finansowej energicznie bierze się do pracy, aby wzmocnić materialne podstawy klubu.

Prócz tego tworzy czynną bardzo sekcję społeczną, która prowadzi kursy dla analfabetów, zakłada „Ognisko dla inteligencji”, które w ciągu roku wydało 119,000 obiadów.

Delegatki klubu biorą udział w pracach Związku Stowarzyszeń Kobiecych, Kooperatywy Stowarzyszeń

Warszawskich, higieny praktycznej im. Bolesława Prusa i innych organizacji.

Członkinie zapisują się do Straży Obywatelskiej, pomagają w kwestach na ofiary wojny itp.

W roku 1916, po odzyskaniu przystani mogło się znów rozpocząć życie sportowe.

Liczba Wioślarek zwiększa się odrazu. Klub urządza pływalnie i organizuje naukę wiosłowania dla nowych członkiń, dawniejsze jeżdżą na dalsze wycieczki.

Rozwój życia sportowego idzie w parze z dalszym rozwojem prac społecznych, niema prawie wystąpienia czy to ogólnonarodowego czy kobiecego, w którymby nie widziano Wioślarek.

1918 ty rok przyniósł klubowi nowe zmiany. Ustępuje żegnana szczerym żalem i słowami gorącego uznania p. Budzińska Tylicka.

Nowoobрани Zarząd z prezeską p. Herse prowadzi pracę w klubie torem, wytkniętym przez poprzedniczki, prócz tego występuje z projektem założenia „Ogniska” dla drużyn skautowskich dziewcząt rzemieślniczek, organizuje pomoc w samokształceniu się i materialną.

Życie w klubie rozwija się silnie i normalnie, ilość członkiń wzrasta do 230-tu, zastęp ich świadomy swych celów dąży wytrwale do stworzenia typu silnej i dzielnej kobiety — obywatelki.

Wypadki polityczne, rozwijające się z zawrotną szybkością, znów przerywają normalną pracę Klubu. Rok 1920, nawała bolszewicka odrywa Wioślarki od życia na Wiśle.

Znów wysuwa się na pierwszy plan praca dla zagrożonej ojczyzny.

Klub tworzy początkowo czołwkę sanitarną, wysłaną na Wołyń, a następnie cały pociąg, którym grupa sanitariuszek — Wioślarek spieszy do Tłuszcza i pracuje w czasie bitwy pod Wyszkiem. Po bitwie tej pociąg wchodzi w skład 1-ej armji, gdzie został przydzielony do 2-ej kompanji czołgów. Wraz z nią ostrzeliwany był pod Mińskiem-Mazowieckim, następnie brał udział w ofensywie na Ciechanów, Mławę. Działdowo. Liczba wagonów doszła do 33. Następnie wysłano pociąg do Lidy w celu zwalczania tyfusu plamistego. Dużo wioślarek uległo wtedy zarażeniu tą straszną chorobą.

Pozostałe w Warszawie członkinie Klubu biorą czynny udział w niesieniu pomocy żołnierzowi, urządzają między innymi święcone dla 500 marynarzy w Modlinie, Klub

zapisuje się na członka „Bandery Polskiej” późniejszej „Ligi Żeglugi”, bierze udział w urzędzeniu „Święta żołnierza polskiego” itp.

Delegatki Klubu reprezentują go na wszelkich ogólnowioślarskich wystąpieniach; na jubileuszu 25-letnim Towarzystwa Wioślarskiego, w Kaliszu ofiarowują mu sztandar, przystępują do Polskiego Związku Towarzystw Wioślarskich, biorą udział w sejmiku wioślarskim w Poznaniu.

(c. d. n.).

I. Fabrycowa.

Z MUZYKI

SŁUCH MUZYCZNY.

II,

Przeszłam razem dla braku miejsca nie przeprowadziłam porównania pomiędzy słuchem absolutnym a względnym, relatywnym.

Otóż, jeżeli ktoś, obdarowany słuchem względnym, dostatecznie wykształconym, powie, określając interwały, które mu grają czy śpiewają: „teraz słyszę tercję wielką” (tercja — odległość między którymkolwiek stopniem skali muzycznej a trzecim kolejnym; wielka — brzmiąca więcej twardo, np. G — H, w porównaniu z małą, więcej miękką, np. A — C), ktoś inny o słuchu absolutnym, nazwie obydwie dźwięki tej tercji.

Podaję tylko jeden taki przykład, ponieważ muszę pisać zwięźle. Ale słuch muzyczny ma zadanie znacznie rozleglejsze niż rozpoznawanie bezwzględnej wysokości dźwięku, może rozpoznawać najzawilsze stosunki dźwięków, formę, rytm, barwę i t. d. (barwa dźwięku — w bardzo elementarnym określeniu — charakterystyczna cecha każdego w szczególności instrumentu czy głosu, dzięki której dźwięk tej samej wysokości, wzięty na różnych instrumentach czy odmiennymi głosami, różni się). I w tem wszystkim słuch względny może orjentować się doskonale, o ile odpowiednio go się kształci.

Nie jeden powie mi, że tu nie wystarczy mieć słuch, trzeba też i pewnej umiejętności i wiedzy muzycznej. Zapewne, ale słuch należy postawić na pierwszym miejscu, bo umiejętność teoretyczna bez wycwiczonego słuchu częstokroć nie na wiele się przyda. Dam przykład.

Względnie jeszcze do niedawna w polskich uczelniach muzycznych nie rozwijało się słuchu, nauka szła po dwóch linjach: przygotowania teoretycznego i technicznego. I okazuje się, że niejedni z tych muzyków, którzy te uczelnie kończyli, nie umie trafiać głosem interwałów, rozpoznać rytmu, akordu i t. p. To jest fakt.

Na jakim instrumencie nauka wpływa najdotadniej na wyrobienie słuchu: na fortepianie czy skrzypkach? czy też nauka śpiewu? Jest to sprawa złożona. Jeżeli chodzi o wrażliwość na bezwzględną wysokość tonu, na jego czystość, pierwszeństwo należy przyznać skrzypkom, jako świadomie stwarzającym ten ton i mającym możność tuż zaraz poprawić jego niedokładności. Śpiewacy też sami stwarzają ton, ale z natury rzeczy muszą czynić to więcej intuicyjnie. Jednak jak jedni tak i drudzy dają muzykę jednogłosową, wymagającą uzupełnienia w akompaniamencie (skrzypki względnie rzadko gra współbrzmieniami),

a wielogłosowość, ciągle stykanie się słuchu z akordami, ogromnie go rozwija. I w tem dodatnia strona fortepianu. Osluchiwanie się ze współbrzmieniami pozostawia ślady w podświadomości grającego, przez to słuchanie nowych utworów jest już ułatwione. Za to w grze na fortepianie kryje się duże niebezpieczeństwo dla słuchu, dla jego wrażliwości na czystość dźwięku: ton już jest gotowy, chodzi tylko o trafianie we właściwe klawisze. W dodatku ten ton łatwo się rozstraja, i pianista nie może tak natychmiast go poprawić, jak to czyni skrzypek i śpiewak. Przez granie na rozstrojonym instrumencie słuch przytępia się i przestaje reagować na nieczystość brzmienia.

Przy trafianiu klawiszów wzrok jest więcej czynny niż słuch, w wielu wypadkach można się nauczyć grać tylko przy pomocy pamięci wzrokowo-palcowej. Poprę przykładem.

Jedną z dziewczynek w pewnym zakładzie, w którym uczyłam, uważałam za całkiem niezdołną. Ponieważ dziewczęta nieraz słyszały ode mnie o ważności słuchu, pewnego dnia oznajmiły mi z triumfem, że „Irka już gra ze słuchu.” Istotnie zagrała bez błędów melodję jakiegoś walczyka. Potem odbyła się między nami taka rozmowa. „Więc grasz to ze słuchu?” „Tak, Jania grała, i ja się nauczyłam.” — „Jakże się nauczyłaś?” — „Siedziałam zawsze koło niej i patrzyłam jakie klawisze ona bierze.” Pomimo tak szczerego wyznania, zbadalam jeszcze jej słuch, i okazało się, że nie może dobrać ani jednego klawisza, ani też zaśpiewać poddanego dźwięku.

Nauka na jakimkolwiek instrumencie wymaga jednoczesnego kształcenia słuchu. Przedewszystkiem należy słuch uczynić świadomym a nie bezwiednym. Jeżeli nieświadomie słucha się muzyki, z jednej strony nieraz moc piękna zupełnie przepada dla słuchającego, z drugiej — nie jest on zdolny do wydania jakiegokolwiek racjonalnego sądu o utworze czy wykonawcy, bo jedynym kryterjum jest dodatnie lub ujemne wrażenie. Można słuchać i nie słyszeć, zarówno jak często patrzy się, nie widząc, jakkolwiek patrzący posiada doskonale rozwinięty organ wzroku.

Jaką drogą osiągnąć taki uświadomiony słuch muzyczny? Oczywiście przez prawidłowo ujętą naukę na tym czy innym instrumencie. Nauczanie musi rozpoczynać się nie od usiłowań czysto wirtuozowskiej natury — te należy odsunąć na plan znacznie dalszy — ale od wtajemniczenia ucznia w istotę muzyki i wyrabiania wrażliwości jego słuchu. Tu nie wystarczy samo granie, trzeba równolegle prowadzić różno-

rodne ćwiczenia słuchu, rytmu, zwłaszcza racjonalnie ujęty śpiew, oraz słuchanie muzyki. Nie jest możliwym podać w tym pobieżnym szkicu odnośne wskazówki. Gdyby jednak Czytelników zajęły te sprawy i gdyby życzone sobie poznać trochę rzecz z praktycznej strony, skreśliłabym chętnie w którym z artykułów maleńki poradnik.

Jeszcze parę słów o słuchu wewnętrznym. Drogą takiej świadomej pracy nad słuchem można dojść do słyszenia utworów bez żadnych bodźców z zewnątrz, np. można czytać nuty w milczeniu, jak czyta się książkę. I pewien stopień takiego słuchu mogą sobie wyrobić i przeciętnie w muzyce wykształcone jednostki, to jest doświadczone. Jaskrawym przykładem słuchu wewnętrznego jest Beethoven, który najwspanialsze swoje dzieła tworzył w okresie zupełnej głuchoty; wszelkie odgłosy świata zewnętrznego już wtedy dla niego nie istniały i porozumiewał się z ludźmi tylko przez pismo.

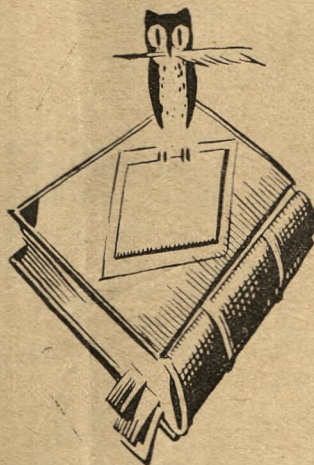
Na zakończenie fakt, świadczący o olbrzymim wpływie uświadomionego słuchu na stronę techniczną (wzięte z cennej pracy rosyjskiej Majkapora: „Słuch muzyczny, jego znaczenie, właściwości oraz metoda racjonalnego kształcenia”). Pewien uzdolniony pianista, kończący właśnie konserwatorium, zachorował poważnie i lekarze zabronili mu grać. Dla uzyskania dyplomu należało wykonać bez zarzutu ogromny program, a takie wykonanie wymagało ciągłej pracy technicznej. Zrozpaczony muzyk zaczął opracowywać wykonanie czysto myślowo. Dość długo trwała ta praca, gdyż około półtora miesiąca nie dotykał fortepianu. Na dwa tygodnie przed egzaminem pozwolono mu zacząć grać. Nietenko zdał go znakomicie, ale odrazu tego pierwszego dnia po przerwie artystycznie wykonał cały program.

Ryta Gnuś.

Z KSIĄŻEK

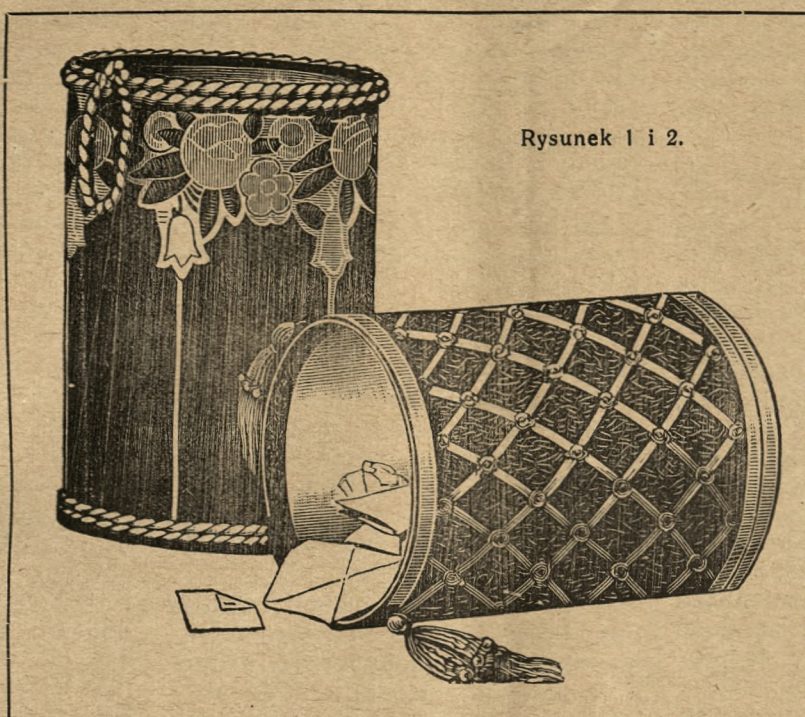
Prof. Leon Petrażycki, „O pobudkach postępowania ludzkiego i o istocie prawa i moralności,” Warszawa, 1924.

W tych dniach pojawiło się na wystawach księgarskich dziełko prof. Leona Petrażyckiego „O pobudkach postępowania i o istocie prawa i moralności.” Jest to tłumaczenie niemieckiej pracy naszego znakomitego prawnika i socjologa, która wyszła w Berlinie, 1907 r., p. t. „Über die Motive des Handelns und über das Wesen der Moral und des Rechts.” Niewielka ta rozprawka zaznajamia nas z najbardziej zasadniczymi punktami teorii prof. Petrażyckiego, końcowe zaś rozdziały są niezmiernie interesujące ze względu na samą ich treść oraz sposób ujęcia jasny i urozmaicony wieloma przykładami. Omówiona jest w nich różnica pomiędzy prawną i moralną psychiką ludzką, społeczne znaczenie estetyki, niebezpieczeństwo tołstoizmu oraz bardzo ważne zagadnienie istoty psychologii prawnej, w której na pierwszy plan występuje w duszy uprawnionego poczucie możności żądania, nie zaś prośby. Jak słusznie mówi prof. Petrażycki, świadomość własnych praw wywiera na ludzi doniosły wpływ wychowawczy, rozwijając samoposzanowanie, gdy tłumienie w ludziach poczucia własnych uprawnień prowadzi do deprawacji, do serwilizmu duchowego człowieka. Wiele cennych uwag znajdujemy w książce prof. Petrażyckiego, to też ukazanie się jej w dobie tylu nierozstrzygniętych kwestji społecznych powinno się spotkać z ogólnym zadowoleniem.



KOSZE DO PAPIERÓW

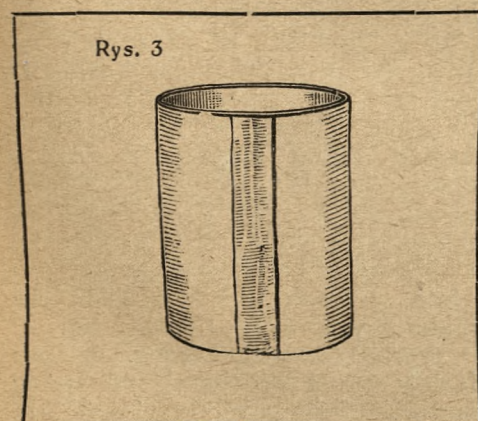
Miłe wrażenie robią w mieszkaniu dopełnienia i drobiazgi nie banalne i nie zawsze i wszędzie widziane, a tem miłsze są one dla każdej z nas, jeśli je sama, bez wielkich kosztów i własną pomysłowością wykonać potrafi. Rysunek 1 i 2 przedstawiają dwa kosze do papierów, zrobione z tektury i papieru gładkiego, lub w deseń, ozdobione torsadką złotą. Z tektury giętkiej, ale nie łamiącej się (grubego bristolu) miary 33×85 ctm. robi się rulon, łącząc go przyklejeniem z dwóch stron klejem stolarskim dwóch pasów



Rysunek 1 i 2.

Kto trochę maluje łatwo sam coś stworzy, kto tego talentu nie posiada może po prostu użyć na górę takiego szlaku deseniuowego, jak się używa do wykończenia obić w pokojach, lub nalepić figurki (czarne sylwetki) wycięte z jakiejś ilustracji.

Dla dodania tym rysunkom pozoru artystycznego można je podrysować tuszem tak zręcznie, aby znikły ślady przyklejenia.



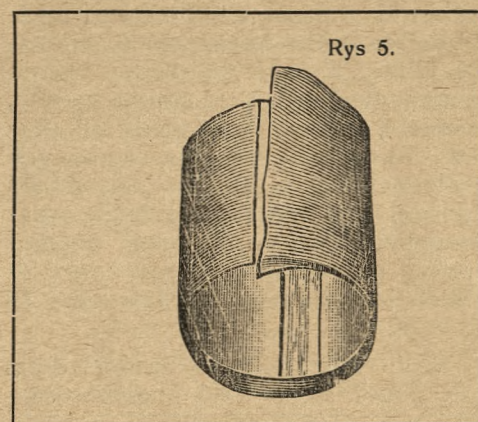
Rys. 3

mocnego płótna, któremi łączy się brzegi tektury. (Rys. 3.)

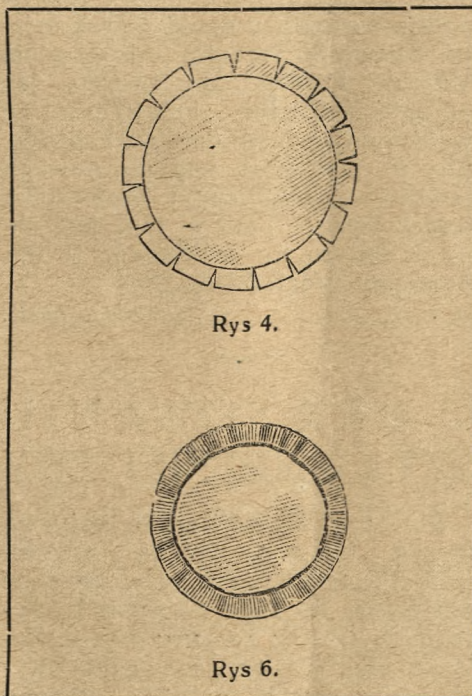
Rulon trzeba związać sznurkiem, aby podczas wysychania kosz nie tracił formy. Na dno trzeba przygotować koło z tektury średnicy 31 ctm. wewnątrz którego rysuje się drugie koło o średnicy 27 ctm. i robi w brzegu pierwszego nacięcia do granicy linii wewnętrznego koła (rys. 4). Załamawszy te nacięcia posmarować je klejem stolarskim i przyklepić do wnętrza tekturowego rulo-

nu, stanowiącego szkielet kosza. Z wewnątrz nakleja się kłajstrem papier gładki, lub w deseń, wpuszczając go do środka (rys. 5) górę kosza ozdabia się szlakiem w duży deseń. Ładnie by też było dać czarne sylwetki na białym tle w formie szlaku, lub medaljonów, wpuszczonych pod gładki papier i obrzeżonych złotym galonikiem.

Kosz wylepia się z wewnątrz papierem o kolorze odpowiednim do wierzchu i wyciąwszy kółko o 27 ctm. średnicy (r. 6) wle-



Rys. 5.



Rys 4.

Rys 6.

pia się je na dno kosza, okleiwszy przedtem tym samym papierem co środek. Aby dno przyklepiło się dobrze, trzeba postawić kosz i włożyć weń jakieś ciężkie przedmioty, dopóki nie uschnie.

Wreszcie wykończa się kosz torsadką. O ile jest płaska wystarczy ją przyklepić, o ile okrągła trzeba ją umocować kilkoma ścięgami, przekuwając tekturę. Cienkimi, ale mocnymi nićmi przyszywa się koła z galonu, które stanowią uszy kosza

LIST Z PARYŻA

Kilka dni temu odbyła się w Paryżu wielka wenta dobroczynna, na której zgromadziły się wszystkie panie z eleganckiego świata. Wenta ta była zorganizowana przez Komitet Pomocy dla mieszkańców prowincyj zniszczonych przez wojnę, dochód zaś był przeznaczony w szczególności na leczenie ubogiej dziatwy, zagrożonej gruźlicą.

Piękny ten kiermasz odbywał się we wspaniałych salonach Pałacu Prezydentury Izby Poselskiej, a cała Francja, rzecz można, pospieszyła ze swym datkiem i ofiarą. Do szlachetnego tego dzieła miłosierdzia należeli także i liczni przyjaciele Francji — cudzoziemcy, oczywiście, znalazła się pomiędzy nimi i Polska, reprezentowana przez P. Chłapowską. Dzięki serdecznej pomocy Pani W., żony jednego z wybitnych rzeźbiarzy polskich, mieszkającej obecnie w Warszawie, ambasadorka otrzymała z Polski bardzo wiele przeslicznych cacek, któremi nasze francuskie panie nie mogły się dość nazachwycać. Zachwycaly się może nawet za bardzo, pozwalało to bowiem przypuszczać, że o sztuce zdobniczej polskiej miały dotąd bardzo słabe pojęcie. W kiosku polskim, w którym z wdziękiem i uprzejmością robiły honory domu p. Chłapowska i hrabina Szembek, rozłożono tysiące uroczych drobiazgów: zabawki z drzewa malowane, rzeźbione, zabawne i malownicze lalczki, kilimy i batiki, wełniaki łowickie chustki wełniane w jaskrawe kwiaty, wstążki, hafty... Nawiasem mówiąc, wśród wszystkich tych wyszukanych i eleganckich wystaw, kiosk polski należał do najudatniejszych, i zapewniam Was, że stanowił on najlepszą propagandę na rzecz współczesnej sztuki polskiej, tak mało tu znanej.

Tego eleganckiego popołudnia, gdy snuły się dokoła najwybitniejsze osobistości ze świata polityki, teatru, literatury — widziałam też i najcudniejsze toalety, które notowałam, myśląc o Was, Czytelniczki Błuszczu. Przedewszystkiem więc — bardzo dużo takich obcisłych niestety, ultraobcisłych. Nie lubię ich osobiście, ale trudno — są noszone, więc trzeba to zaznaczyć.

Polegają więc zawsze na jednym i tem samym: wąskie długie „fourreau“, z crêpe marocain albo czarnej fulgurante, z jedną falbaną u dołu, a wszystko razem możliwie najkrótsze. Im więcej pokazuje się łydek — wybaczcie mi to wyrażenie — tem bardziej się jest modną. Co nie znaczy, żeby to było zawsze ładne! Niestety, więcej jest na świecie nóg brzydkich, niż ładnych...

Oczywiście, nie nosi się rękawów. Dekolt „w szpic“, lub okrągło wydłużony ale zdaje mi się, że „szpic“ przeważa. Jeśli ta moda Wam się podoba, nie będzie Wam trudno zacząć uszyć zręcznej szwaczce suknię taką w domu. W tym wypadku radzę użyć do obszycia futra, w jakim chcecie gatunku. Będziecie ubrane modnie, jeśli się rozbierecie do granic możliwie dozwolonych przez konwenans — a konwenanse w Paryżu są na tym punkcie bardzo elastyczne.

Gdybym mogła jednak dać Wam radę w tym względzie, radziłabym jak najmocniej unikać przesady, gdyż stroje tego rodzaju, jeśli nie są cudownie noszone, tracą zawsze złym smakiem.

Na popołudniowe zebrania używane są często tiuniki z crêpe—georgette, haftowane paciorkami albo w tonie sukni, albo też w kolorach żywych i mieszanych na podszewce jedwabnej. Przy świetle daje to efekty bardzo piękne.

A teraz wielka nowina! Obiega ona Paryż już od pewnego czasu, ale nie chciano jej wierzyć. Proponują nam na serjo powrót do strojów z epoki Dyrektorjatu. Nasi wielcy krawcy przysięgli sobie, że je pchną w świat i nie chcą wyrzec się tej myśli. Jeżeli kobiety będą im posłuszne, — a nie widać jakoś dotychczas chęci oporu — będziemy wkrótce nosiły pasek pod same mi pachami, a obręb naszych sukien sięgać będzie kostki. Typ mody dobrze znany i nie wymaga dłuższego opisu. Tym sposobem zanikłoby wkrótce to, co w ciągu ostatnich lat dziesięciu stanowiło wdzięk mody paryskiej: prostota i elegancja i praktyczność zarazem.

Kapelusze będą bezwątpienia tą częścią stroju, na którym najpierw odbije się wpływ epoki Dyrektorjatu. Słusznie zresztą, nic bowiem nie robi bardziej do twarzy, jak okrągłe budki lub „kabrjolecik“ ze wstążkami, wiązanymi pod brodę. Ale to prowadzi nas do nowego tematu — kapeluszy i drobiazgów toaletowych. Tyle o tem jest do powiedzenia, że odkładam to na następny tydzień.

Hrabina Annie.

O PRASOWANIU SZTYWNEJ BIELIZNY

Aby uprasować ładnie sztywną męską bieliznę, trzeba przede wszystkim uważać, żeby wszelkie potrzebne do tego naczynia i przyrządy były bez zarzutu czyste. Żelazko elektryczne, gazowe, lub zwyczajne z duszą, zależnie od tego

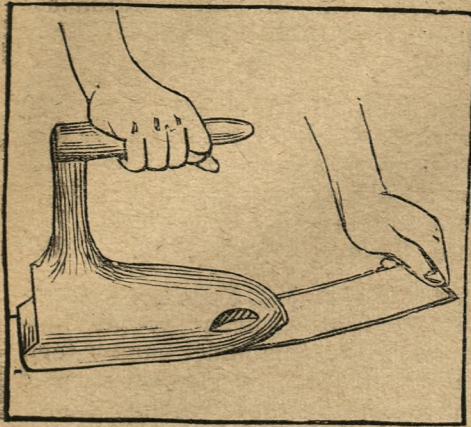
jakiego się używa powinno być wyczyszczone, doskonale inaczej przywiera i żółci. Nie powinno być ani za ciężkie, ani za lekkie, konieczne z okrągłą rączką, żeby łatwo było niem przyciskać i nie męczyło zbyt dłoni. Miska do przygotowania krochmalu i druga mniejsza na wodę do nacierania zaschniętych miejsc nie powinny być nigdy używane do tłustych rzeczy, najlepiej aby miseczki, przeznaczone do tego użytku, do niego tylko służyły. Gałganek czysty do moczenia i ścierania plam, kawał płótna do zawinięcia natartej krochmalą bielizny, wołok do podłożenia, kawałek baji do wsuwania pod gors, aby nie przylepiały się w prasowaniu tył koszuli, kostka, zwana falcem, do wygładzania i prostowania załamek, oto przyrządy, potrzebne do tej roboty.

Krochmal do gorsów, kołnierzyków i mankietów robi się na zimno: 50 gr. najładniejszego krochmalu ryżowego rozpuszcza się w trzech filiżankach zimnej wody ($\frac{3}{4}$ litra) dodając, dla zabezpieczenia bielizny od wzdymania się i dla dodania jej sztywności, łyżeczkę boraksu, rozpuszczonego w troszce gorącej wody. Krochmal powinien mieć gęstość dobrego mleka. Ta ilość krochmalu wystarcza do 12 gorsów, 12 kołnierzy i 6 par mankietów. Po należytem namoczeniu i wypraniu bielizny w krochmalu wciera go się jeszcze mocno, czystym gałgankiem, jeżeli zostaje pomimo to na wierzchu, to dowód że jest za gęsty i trzeba dolać jeszcze filiżankę zimnej wody. Następnie należy dobrze wyjąć i zawinąć w czysty kawałek płótna. Od koszuli zbiera się w rękę gorsy, paski do przypinania kołnierzy i mankietów i zanurza w krochmalu, potem naciera, a resztę koszuli zwilża się lekko czystą wodą i zawija się.

Trzeba zwrócić uwagę, że tak farbkę jak i krochmal nie każdy materiał jednakowo przyjmuje, ale do tych wiadomości dochodzi się tylko doświadczeniem, także bielizna, która w ciepłe prędko wysycha będzie sztywniejsza niż suszona powoli w wilgoci.

Żelazko do prasowania sztywnej bielizny musi być odpowiednio nagrzane, od stopnia jego rozpalenia zależy w dużej mierze udanie roboty; za gorące pali, od za mało gorącego wzdyma się bielizna.

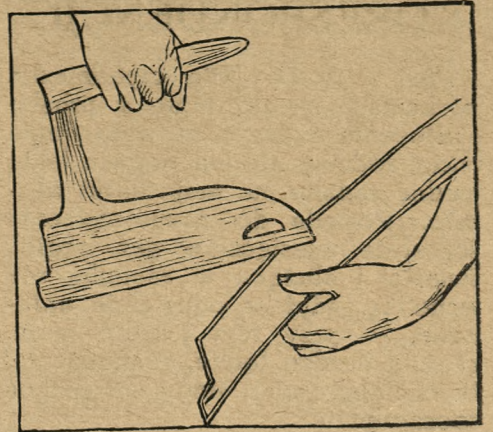
Najlepiej probować żelazko, puszczać na nie kroplę zimnej wody, jeżeli sycząc paruje — to temperatura odpowiednia, można też probować na kawałku płótna, czy nie przypala. Jeżeli, pomimo ostrożności, bielizna się przyżółci, trzeba prędko zmyć plamę czystą wodą.



Rysunek 1

Bardzo świecącej bielizny nie używa się obecnie, więc nie trzeba, jak to dawniej robiono, nacierać jej parafiną, lub kawałkiem świecy stearynowej. Kołnierzykowi nadaje się fason okrągły, przyciskając go żelazkiem w środku, a unosząc oba końce ku górze. Z mankietami postępuje się tak samo, prasując naprzód po lewej, następnie po prawej stronie.

Przewracając, trzeba uważać, żeby jeszcze były wilgotne i dobrze parowały. Po uprasowaniu i wyglansowaniu trzeba je zaokrąglić i sprasować boki na powietrzu, po-



Rysunek 2

Przystępując do prasowania kołnierzyków i mankietów trzeba je naprzód powyciągać na wszystkie strony podług nitki, następnie przeciągnąć paręrazy po lewej stronie, przyciskając mocno żelazkiem, drugą zaś ręką wyciągając kołnierzyk (rys. 1). Aby kanty kołnierzy nie obcierały szyi, trzeba, jak na rys. 2 wskazane, podnieść jedną ręką kołnierzyk do góry, drugą żelazkiem w powietrzu prasować brzegi, następnie obrócić na prawą stronę, wygładzić kostką wszelkie załamki i prasować dalej już po prawej stronie. Zanim kołnierzyki doschną, zupełnie suche bowiem łatwo łamią się, przyczem płótno pęka, odwinąć rożki na trzy milimetry. Dla wyglansowania obraca się żelazko czubkiem do siebie, unosi je się lekko w górę, a szerszą stroną (rys. 3) mocno przyciskając, przeciąga się tam i z powrotem po kołnierzyku. W końcu dla ostatecznego nadania połysku, raz jeszcze zwilża się gałgankiem i prasuje aż do kompletnego dosuszenia i wyglansowania.



Rysunek 4

żelazka i uważając żeby nie zanadto wyciągnąć spodnią część kołnierzyka, bo straci fason. Wyglansować go, odwinąć, zaokrąglić i wycisnąć dziurki samym kantem żelazka, żeby łatwo spinki wchodziły.

Przy gorsach prasuje się naprzód pasek u szyi, zaokrągla go i zlekką po lewej stronie wysusza gors, prasuje na zmianę to jedną, to drugą stronę, żeby zanadto nie wyschły.

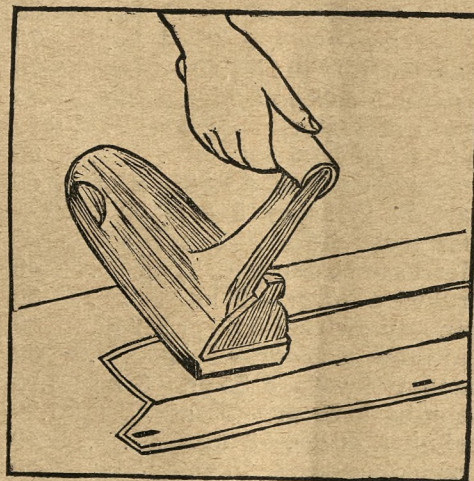
Pod gors wsuwa się kawałek baji, aby nie przywarł do koszuli i prasuje, mocno, przyciskając tylną stroną żelazka, po wyrównaniu kostką wszystkich fałdek. Dla ostatecznego wyglansowania zwilża się, jak przy kołnierzykach, prawie już dosuszony gors i mocno prasuje. Jeżeli są zakładki, dziś już zupełnie nie noszone, trzeba je podnieść kostką, przed zupełnym dosuszeniem. Gdyby przypadkiem gors się przyżółcił, trzeba zmyć go dobrze i poczekać aż przeschnie, bo takie miejsce łatwo przypala się powtórnie i wyprasować na sucho. Szpicem żelazka wycisnąć wzdłuż dziurkę prostą linję, a z lewej strony czubkiem żelazka otworzyć dziurki, aby spinki lekko wchodziły.

Całą koszulę prasuje się, układając plecy w zakładki, tak aby były równej szerokości jak przody i składa ją się tak, jak rys. 5 i 6 wskazują.

J. S.



Rysunek 5



Rysunek 3

łożywszy je na sobie (rys. 4). Specjalną uwagę trzeba zwrócić na to, aby się przy dziurkach nie robiły fałdki.

Najtrudniejsze do uprasowania są kołnierzyki stojąco-wykładane, które po należytem wyciągnięciu, obsusza się lekko po lewej stronie, a przewróciwszy na prawą, prasuje mocno wyciskając szerszą stroną



Rysunek 6

KORESPONDENCJE

Pani J. N. D., Miła czytelniczka zwracająca się do mnie z prośbą o ułożenie budżetu na wyżywienie takiej rodziny nie ma pojęcia jakie trudne zadanie na moje barki włożyła. Posiada do rozporządzenia 263 złote miesięcznie, gaz, węgiel, światło i służąca w rachubę nie wchodzi, gdyż są oddzielnie opłacone, — przy tem jeszcze małe, zresztą bardzo ładne, zastrzeżenie, że chciałyby z tej sumy coś niecoś zaoszczędzić.

Trudne jest to zadanie matematyczne z bardzo wielu nieznanymi — gdyż nie znam przedewszystkiem wielu członków rodziny, ich apetytów, ich gustów i przyzwyczajzeń, a to są rzeczy tak bardzo indywidualne. Nie wiem czy pracują w domu czy poza domem, ile osób pracuje, czy jadają trzy, czy też cztery razy dziennie, czy obiad ma być o godzinie 12, 1, 2, 3, 4 czy też 5-tej? O której jadają kolację, czy ma być ona zimna, czy gorąca? Niech się więc moja miła czytelniczka nie dziwi, jeśli rozwiązanie zadania wypadnie nie świetnie. Za podstawę mego obliczenia wzięłam, że Pani może wydać osiem złotych dziennie, co będzie stanowiło 240 złotych miesięcznie, o ile Pani się uda ściśle wykonać budżet reszta będzie stanowiła oszczędność. Aby prowadzić gospodarstwo oszczędnie należy wszystkie zakupy robić w większej ilości, na codzień pozostawiając tylko mięso, mleko i pieczywo. Następujący spis produktów powinien zupełnie wystarczyć na śniadanie składające się z kawy z mlekiem, bułki i kromki chleba z masłem, drugie śniadanie ze szklanki herbaty i kawałka chleba z serem lub wędliną, obiad z zupy, mięsa z jarzyną, kompotu lub innej taniej leguminy w rodzaju kisiela, ryżu z cukrem i cynamonem i t. p. i kolacji z potrawy mącznej, (kaszy, klusek, makaronu, pierożków z serem i t. p.) i herbaty. Dziecko dwuletnie nie powinno jadać mięsa a przynajmniej nie dużo, natomiast dla siebie przeznaczone codziennie trzy czwarte litra, (trzy szklanki) mleka, jajko, kaszkę manną, kompot, kakao i może jeść wszelkie zupy, jarzyny i kaszę. Służąca powinna jadać wszystko to samo co i państwo, wszelkie robienie dla niej oddzielnych potraw byłoby tylko pozorną oszczędnością a wywoływałoby zawsze pewną niechęć, co najwyżej można odrazu dać jej na ręce miesięcznie 800 gram. (2 funty) cukru do kawy i herbaty i odkrajać codziennie trzecią część bochenka chleba, aby mogła go spożyć w dowolnych ilościach przy każdym po-

siłku. Z zup — rosoly należy gotować tylko wtedy, kiedy na drugie danie dajemy sztukę mięsa lub potrawkę, w inne dni należy gotować zupy kwaśne na kościach, lub też dawać zupy jarzynowe, lub mączne zabielańskie. Pieczone, uważam, że przy takim skromnym budżecie (jeden złoty sześćdziesiąt groszy od osoby, może się zjawiać tylko w niedzielę i święto, w inne dni należy dawać zrazy, szynki, steaki, kotlety bite i siekane, klopsy, kołduny, flaki i t. p. jako podzielniejsze, przy czem, w dni, kiedy mamy mięso siekane, z tej samej ilości (1 kilo) starczy na obiad i na kolację. Uważam że należy użyć miesięcznie:

herbaty à 15 zł. kilo 200 grm.	3.—
kawy zbożowej à 1 zł. kilo 2 kg.	2.—
kakao à 3 zł. kilo 1/2 kg.	1.50
mleka à 40 gr. litr 45 litrów	18.—
śmietany à 2.80 litr 2 litry	5.60
masła kuchennego à 4 zł. 2 kg.	8.—
„ świeżego à 5 zł. kg. 4 kg.	20.—
słoniny à 2.40 2 kg.	4.80
szmalcu à 2.80 — 2 kg.	5.60

Tłuszczów dają dużo, do kuchni 200 gr. (pół funta) dziennie, co powinno obficie starczyć na smażenie, sosy i okrasę mącznych dań. Masła świeżego kilo tygodniowo starczy zupełnie do chleba na pierwsze i drugie śniadanie.

jaj à 20 gr. — 60 szt.	12.—
chleba à 45 gr. — 30 kg.	13.50
bułek à 4 gr. szt. — 180 szt.	7.20
mąki przyn. à 55 gr. — 6 kg.	3.30
cukru à 1.20 gr. — 8 kg.	9.60
kaszy gryczanej à 75—1 kg.	—75
„ jęczmieni. à 60 — 1 kg.	—60
„ mанны à 80 — 1 kg.	—80
„ krakowsk. à 75—1 kg.	—75
mąki kartoflanej à 1.40—1/2 kg.	—70
grochu lepszego à 75gr.—1 kg.	—75
fasoli à 1 złoty — 2 kg.	2.—
ryżu à 75 gr. 1 kg.	75
makaronu włosk. à 1.80 gr 2 kg.	3.60
kartofli 1/4 korca à 8 zł. 60 f.	2.—
marchwi à 15 gr.—3 kg.	45
pietruszki à 80 gr.—1/2 kg.	40
brukwi à 15 gr.—2 kg.	30
kapusty świeżej à 40 gr.—2 gł.	80
buraków á 20 gr.—3 kg.	60
kapusty kwasz. á 35 gr.—3 kg.	1.05
selerów à 20 gr.—6 szt.	1.20
cebuli à 80 gr.—3 kg.	2.40
grzybków susz. à 10 zł.—1/4 kg.	2.50
pomarańcz à 20 gr.—15 szt.	3.—
żurawin á 1 zł.—1 kg.	1.—
soli à 30 gr.—4 kg.	1.20
essencji octowej flakon za	50
oliwy francusk. à 5 zł.—200gr.	1.—
musztardy à 80 gr.—1 słoik	80
korzeni różnych za	1.—
mięsa różnego à 2 zł.—24 kg.	48.—

Mięsa liczę po 1 kg. dziennie plus raz na zmianę kurę i raz kaczkę, które naturalnie można zastąpić innym odpowiednim daniem, cztery piątki, jeko dni postne wy-

kluczam, na te piątki natomiast mamy sporą porcję grzybów i osiem śledzi.

kura 3 zł. 50 gr.—1 szt.	3.50
kaczka à 5 zł.—1 szt.	5.—
kielbasy serdel. à 3 zł.—2 kg.	6.—
szynki á 5 zł.—2 kg.	10.—
sera śmietan. à 3 zł.—1 kg.	1.—
sera białego á 1.20—2 kg.	2.40

wędlin i sera jest 5 kg., co stanowi 12 1/2 funtów, licząc po pół funta na każde śniadanie, mamy tego na 25 śniadań, w pozostałe pięć dni można zastąpić wędliny szprotami lub serem białym.

śledzi ulików à 40 gr.—4 szt.	1.60
śledzie proste á 20 gr.—4 szt.	80
szprotów wędzon. á 1.60—2 kg.	3.20

Razem 259.50

Widzę niestety, że mimo najściślejszego obrachunku przekroczyłam normę 8 złotych dziennie, o ile więc miła czytelniczko będziesz chciała porobić oszczędności większe niż trzy złote pięćdziesiąt groszy miesięcznie, będziesz musiała skreślić artykuły luksusowe np. kaczki, pomarańcze, szynkę zastąpić kielbasą, a może jeszcze coś na tem zaoszczędzisz.

Budżet ten kuchenny jest robiony w chwili bardzo niedogodnej, gdyż nabiał i jaja są obecnie najdroższe, z wiosną te artykuły znacznie potanieją i można je będzie wprowadzić jako główne danie na kolację.

Pani Elżbieta

PRZEKĄSKI

Jedna z czytelniczek „Bluszczu” zwraca się do nas, prosząc o rady i wskazówki z dziedziny przekąsek, dostosowanych do skromnego dnia codziennego, i wystawnego przyjęcia. Sięgam do wspomnień przedwojennych, kiedy to nam skromnym mieszkankom modrzewiowych dworów, nie śniło się współzawodnictwo na polu chwały, nauki, artyzmu, kiedy stałyśmy przed zatrzaśniętą bramą, po za którą ważyły się losy ludzkości, a my po tej drugiej stronie, żyłyśmy maleńkim życiem trosk i uśmiechów codziennych, ale miałyśmy sławę najlepszych gospodyń, a tryb naszego codziennego życia i przyjęcia przez nas urządzane dorównywały najwykwintniejszym domom stolicy.

Więc dzisiaj z radością czerpię ze skromnej skarbnicy swych doświadczeń, aby na zatroskaną buzię młodej pani domu, przywrócić uśmiech zwiany bezradnością, z jaką stoi wobec wielkich zagadnień! Zaczniemy zatem od szarzyzny dnia codziennego, którą, tak łatwo opro-

mienić staraniem i wypieszczeniem szczegółów życia domowego, na co stać każdą kobietę, która dom swój kocha.—

Aby nie obciążać budżetu specjalnymi daniami do skromnego obiadu postarajmy się zużytkować pozostałości dnia poprzedniego — mięso obrane z kostek na których się gotuje zupa, resztę wędliny, zimnej pieczeni, jarzyn etc. Małeńkie pierożki z delikatnym mięsnym farszem, paszteciki z gotowanej lub pieczonej cieleciny zmielonej i doprawionej śmietaną, masłem z mąką, buljonem cytrynowym sokiem, i w małeńkich tygielkach pod misternym puchem parmezanu zapieczone, sałatka z jarzynek, drobno pokrajanej wędliny i zimnego kartofla zalana sosem musztardowym, grzanka przykryta farszem z mózgu, lub gęstym zaprawnym żółtkami sosem chrzanowym, który dodaje wykwintnego smaku szynce, lub parówce na podłożu z chrupiącej grzanki ułożonej i po oblaniu chrzanem w piecu rozgrzanej. Wszelkie omlety bez mąki z pieczarkami, nerką, łebkami szparagowymi, pomidorami, szczypiorkiem, natką od pietruszki, paszteciki w naleśnikach, kruche, drożdżowe, bigos, paszтет z zajęczym przodków na gorąco w kruchem zapieczonym cieście, befszyk po tatarsku drobniutko siekanymi piklami, cebulką i ćwiarteczkami cytryny przybrany z nieodzownym żółtkiem wpuszczonem w okrągłe zagłębienie pośrodku befszyka uprzednio przyszykowane — oto cały szereg niedrogich i mało ambarasownych zakąsek, które dopełniają skromny obiad i nadają mu, tak zwane „cachet“.

Przekąski poprzedzające wystawny obiad, lub kolację wymagają już dużo więcej starania, tak w obmyśleniu, jak i wykonaniu. Przedewszystkiem trzeba mieć wycucie co kiedy podać można. I tak: przed drugim śniadaniem, lub wczesnym wiejskim obiadem—bigos laki, kielbaski w sosie, pierożki w buljonie, kołduny, paszteciki, wędliny, śledzie, marynaty faszerowane pomidory, galarety etc.

Obiad wieczorowy, lub kolacja imieninowa, rautowa, czy balowa mają cały szereg związanych ze sobą dań wstępnych, które z wystawnym menu dalszego ciągu zlewają się w jedną harmonijną całość.

Korowód strojnych i wykwintnych półmisków otwierają zwykle wszelkie; chaud froid, majonezy, paszety, zimne mięsiwa, grzyby w śmietanie, pieczarki, ryby wędzone, sałaty, nieodzowne sosy majonezowe, wszelkie forszmaki i wiele na ten temat stworzonych

kombinacji, zależnie od pomysowości i wyrobienia pani domu, środków jakimi dysponuje i wyszkolenia służby.

Obiady, lub kolacje eleganckie, lecz nie tak bogate i wystawne mogą obejść się łatwo bez tej niezliczonej ilości dań przedwstępnych wymagających, tak wiele trudu i kosztu — nie tracą przytem nic na elegancji jeśli zamiast zastawiać oddzielny stół podamy odrazu przy stole biesiadnym jedno, lub dwa dania, tak zwane entrées. Może niem być majonez pięknie przybrany, paszтет w cieście francuzkiem, ryba skrętnie z ości obrana podzielona na małe kawałki i w bechamelowym sosie pod rantem z francuzkiego, lub kruchego ciasta zapieczona, tak samo przygotowane pulardy, szyki rakowe etc.

Na zakończenie przypomnieć muszę o kawiorze, ostrygach, ostrygach au gratin, langustach i homarach, które przez lata wojny skreślono nawet z kart pierwszorzędných restauracji. Kawior od pewnego czasu znów jest w handlu i odpowiednio podany (na lodzie) zawsze był i będzie najl. pszą i wykwintną zakąską — natomiast ostryg jeszcze nie sprowadzamy mówić, więc o nich nie widzę potrzeby.

Jeżeli która z czytelniczek zażąda bliższych wskazówek co do przyrządzania której z wymienionych potraw, lub rad z dziedziny ubierania półmisków i sposobu podawania przekąsek chętnie służę będziemy wyczerpującymi objaśnieniami.

W.



Przepisy gospodarskie

WĘDLINY LITEWSKIE.

Polędwice. Polędwice wieprzowe, są to właściwie schaby zdjęte z kości; natychmiast po zabiciu wieprza odejmuje się je i macza w krwi wieprzowej na dwie doby. Potem się wyjmują, ociera z tej krwi jaknajstaranniej, układa najszczelniej w małej faszeczce, przesypując taką samą mieszaniną soli, saletry i korzeni, jak było powiedziane przy szynkach, z tą różnicą, że kolendrę się sypie całą a nie tłuczoną. Dalej się postępuje jak z szynkami, to jest po przetrzymaniu dwóch dni w cieple, przekłada

się je, wynosi przyciśnięte denkiem na chłód, i pilnuje aby się jednakowo wszystkie marynowały w rosole. Po dwóch tygodniach, otarte z rosołu wkłada się je w grube kiszki wołowe, osusza godzin kilka na wietrze, poczem wędzi od tygodnia do dwóch zależnie od grubości polędwic i od tego, czy mają być zaraz spożyte, czy też przechowane na konserwę dłuższą.

Głowizna. Głowę wieprzową można uwędzić w całości, po usunięciu żeń mózgu, — w tym celu robi się otwór z tyłu głowy w kości i przezeń łyżką mózg wyjmują. Ozór się też usuwa i używa na świeżo, lub gotuje do salcesonu. Całą zaś głowę soli się razem z szynkami, wędzi z nimi i używa gotowaną w całości lub nadziewaną, do ozdoby stołu wielkanocnego. Można też głowę po usoleniu wraz z szynkami użyć na galantynę nie wędząc jej wcale. Wyjąć z głowy wszystkie kości, nie uszkodzając nigdzie skóry, ryj cały zeszyć gęsto mocnymi nićmi, otwory oczu też.

Przygotować farsz z trzech do czterech funtów wiperzowiny lub cieleciny, dodając bułki, jaj i korzeni, jak do kotletów siekanych, pokrajać w plastry funt wędzonego boczku lub słoniny i szperki, pokrajać w plastry funt cielecjej wątróbki, sześć jaj ugotowanych na twardo i pokrajanych na ćwiartki i kilkanaście korniszonów. Układać warstwami wszystko aż się głowizna zapełni. Otwór od strony szyi zaszyć szczelnie płótnem, do uszu włożyć patyki i związać uszy sznurkiem aby zachowały kształt. Ułożyć w kociołek, włożyć kości wyjęte z głowy, włoszczyzny jak do rosolu, soli, pieprzu, listka, cebuli, wlać wody z kilkoma łyżkami mocnego octu, i gotować od chwili zagotowania trzy do czterech godzin.

Po wyjęciu z wody zastudzić, usunąć płótno i nici. (Można też przed gotowaniem zawinąć w chystą serwetę lub płótno, co ją chroni od pęknięcia przy gotowaniu. Serwetą taką po zastudzeniu zdjąć, nici wszelkie usunąć, a głowę napowrót zawinąć w serwetę, aby skórka nie obsychała). Smak wygotować na galarete, zastudzić w misce i krając głowiznę ubierać ją tą galareteą.

Do tego podaje się sos musztardowy lub tatarski, albo chrzan z octem i ze śmietaną.

Głowizna taka może stać w chłodzie przeszło dwa tygodnie i jest wyborna. Zamiast farszu mięsnego można użyć do niej farszu z wątróbki, przyrządzonego jak na paszтет. Jest to bardzo smaczne, lecz znacznie mniej trwałe. *Pani Elżbieta*

DOBRE RADY

Osoba nie posiadająca środków na dużą ilość toalet powinna wybierać zawsze materiały spokojne i fasony nie rażące. Dobrze ubrana będzie wtedy, jeśli potrafi zastosować modę do swoich środków, powierzchowności i stanowiska.

* * *

Plamy z kawy usuwa się za pomocą silnego roztworu soli — zastarzałe, na białej bieliźnie usuwa się przez zamoczenie w maślanie, a następnie staranne wypranie.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 4.

77. Kostjum dla młodej pani „Polskie pole.“ Sukienka z crepe georgette koloru słomy, na spódnicy u dołu naszyta girlanda z kłosów. Na szyi wianek z polnych kwiatów.

78. Kostjum „Futurystka.“ Beret, spódniczka i peleryna ponsowa, tiunika zielona, pasy poprzeczne niebieskie, pasy podłużne lila.

79. Kostjum „Pierrotka.“ Suknia ze świecącego atłasu fiołkowego i lila, lub czarnego i żółtego.

80. Kostjum dla młodej osoby „List miłosny.“ Sukienka z różowej tafty, na spódnicy szlak z kopert wycinanych z białego atłasu. Na kokardzie z czarnej aksamitki zawieszona mała trąbka i serce przebite strzałą.

81. Kostjum dla chłopczyka „As kierowy.“ Spodnie i rękawki ponsowe, kamizelka i buty białe.

82. Kostjum „Japońska gejsza.“ Kimono z białego jedwabiu — szarfa i dół z atłasu zielonego — haft czarny i złoty.

83. Kostjum „Egipcjanka.“ Suknia z crepe de chine'u koloru ivoir. Pas wysadzany kamieniami, lub haftowany kolorami: niebieskim, miedzianym i złotem. Objęcie szyi niebieskie ze złotem.

84. Kostjum dla młodej pani „Puszek do pudru.“ Sukienka plisowana z niebieskiego crepe de chine'u, objęta u dołu białymi marabutami. Staniczek przybrany puszkami od pudru. Na głowie czapeczka w formie puszki.

85. Kostjum dla małego chłopczyka „Amorek.“ Sukienka z różowego jedwabiu przepasana czarną aksamitką. Róg złoty. Na głowie girlanda różowych różyczek. Skrzydełka ulepione z piórek.

86. Kostjum dla dziewczynki „Stokrotka.“ Staniczek z zielonego aksamitu, spód-

niczka i rękawki z bladej różowej tafty, ciętej na skos na długie płatki.

87. Kostjum dla dziewczynki „Różyczka.“ Staniczek z atłasu oliw, spódniczka z różowej lub żółtej organdy.

88. Kostjum „Pierrot.“ Majtki z materji czarnej z białym w kratę, stanik z czarnego aksamitu. Kryza z białej organdy albo iluzji. Na głowie czarna czapeczka z piórem.

89. Kostjum „Nasze morze.“ Suknia z crepe georgette koloru wody morskiej, u dołu przybrana łuską ze srebrnych cekinów i aplikacją z rybek wyciętych ze srebrnej lamy. Przybranie z pereł, spięcia sukni z muszelek.

90. Kostjum dla małego chłopczyka „Motylek.“ Sukienka z żółtego crepe de chine'u. Skrzydełka z organdy rozpięte na foremce z drutu.

91. Wzór na poduszkę. Aplikacja na paskowem suknie. Wielkość naturalna.

UWAGA: Powiększone wzory robót umieszczonych w Dodatku Mód można nabywać w Administracji „Bluszczu“ po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy uskuteczniać na blankietach czekowych P. K. O

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. rękawów	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Kroje modeli umieszczonych w Dodatku Mód dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub suknia fantazyjna . zł. 3.50
suknia zwyczajna „ 2.50
bluzka „ 2.00
formy dzieciinne „ 2.00
bielizna „ 1.50

Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Zapobiegliwej. Prawidłowo cerę pielęgnuje *Krem Abarid*, lecz nie wtedy zacząć stosowanie, gdy zmarszczki już się ukażą, ale wtedy, gdy ich jeszcze nie ma. *Krem Abarid* trzeba codziennie wcierać w twarz w małych dozach, ale stale, wtedy zmarszczki wcale nie będą się tworzyć, gdyż *Krem Abarid* wsiąkając w skórę, odżywia ją, nie dopuszczając do tworzenia się fałd i zmarszczek. Żaden krem z nowo-ukazujących się, nie jest w stanie konkurować z ustaloną od lat kilku reputacją *Kremu Abarid*. Używając ten krem, należy twarz pudrować *pudrem Abarid*, jedynym, który nie zawiera domieszek metalicznych, tak psujących cerę. Do mycia najlepiej używać *otrąbek Abaridowych*, lub mydła *Abaridowego*.

Tłuszczosze. Przeciw nadmiernej otyłości całego ciała, wypijać naczczo rano filiżankę naparu *Ziółek parouayskich*. Jedną łyżeczkę ziółek, naparzyć filiżankę wrzącej wody, i po kilku minutach, jak naciągnie, wypić ciepłe. Djety żadnej zachowywać nie trzeba. *M-le Ercedès.*

PORADY KOSMETYCZNE.

St. R-skiej. Owszem są radykalne środki, np. francuski płyn „*Petunia*“ dr. Leroux. Pieggi znikną bezpowrotnie. Dostanie Pani w większych składach aptecznych i perfumerjach.

M. St. K. Włosy lepiej myć mydłem płynnym, jak „*Pinol*“, a skórę głowy nacierać co 2–3 dni ang. płynem „*Bisare*“, lupież zniknie bezpowrotnie, owłosienie zgęstnieje.

Marfie. Mydła do twarzy należy używać tylko w dobrym gatunku. Przed umyciem posmarować twarz kremem „*Salome*“ i po umyciu i wytarciu też, a cera przestanie się łuszczyć. *Dr. Roemer.*

OGŁOSZENIA przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU“: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA“, Warszawa, Jasna 10, T-WO REKLAMY MIĘDZYNAR: S-ka z Ogr. Odp. **OGŁOSZENIA**
Gen. Rep. RUDOLF MOSSE—Marszałkowska 124, BIURO OGŁOSZEŃ T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL
i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA — Senatorska 12. Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA“
Długa 9 i I. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA.

Dział praktyczny oraz dodatek mód i robót pod redakcją MARJI PODHORSKIEJ—OKOŁÓW.

Kierownik Graficzny EDMUND BARTŁOMIEJCZYK.

Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 99. Tel. 239-40.



KOMUNIKAT BIURA PRASOWEGO DLA SPRAW KOBIECYCH



WARSZAWA

24 STYCZNIA 1925 r.

HARCERKI POLSKIE NA ZJEŹDZIE W ANGLJI

Malowniczy stary park angielski w Fexleasie, wraz z pałacikiem i zabudowaniami gospodarczymi jest od dwóch lat własnością skautek angielskich. Tam to w lipcu ub. r. odbyła się międzynarodowa konferencja instruktorek skautowych, połączona z obozem międzynarodowym. 28 państw i 16 kolonji angielskich przysłało swoje delegacje. Nie brak tam było egzotycznych mieszkańek Kochinchiny i Cejlonu, gości z dalekiego wschodu—Japonji, przedstawicieli północy: Norwegji, Szwecji, Irlandji i wielu innych.

Około tysiąca skautek zgromadziło się w Foxleasie, to też w starym parku wrzało życie bujne, choć ujęte w karby ładu i planu. Na każdym kroku czuło się sprawną, sprężystą organizację, widać było, że o wszystkim pamiętano, że każdy miał tu swoje wyznaczone miejsce. Poczta, drużyna transportowa w sile kilkudziesięciu aut, 10 kantyn, biuro wymiany pieniędzy, a we wszystkim bajeczny spokój i porządek—to było naprawdę imponujące.

Obóz składał się z trzydziestu mniejszych obozów, które kierowały instruktorki angielskie. Delegacje obcych krajów porozdzielano między różne obozy, to też w każdym miało się wrażenie wieży Babel. Zało szybko postępowo poznanie się i zbliżenie różnych narodów.

Zawodów międzynarodowych nie było, były popisy poszczególnych delegacji. Czardasz, Krakowiak, stare tańce walijskie, dźwięczne piosenki alpejskie, zuluskie ognisko i wiele, wiele innych tworzyły ten barwny kalejdoskop wrażeń, przepłatających godziny pracy i konferencji. Te, wolne od referatów godziny, były może najważniejsze dla wzajemnego zbliżenia się i za-

poznania. Dwie tylko rzeczy zatrudniały wolne chwile: podpisywanie się w albumach i pozowanie do fotografii.

Tydzień wytężonej pracy nad omawianiem zagadnień, dotyczących ruchu skautowego w różnych krajach, tydzień tego siostrzanego współżycia z tyloma skautkami obcemi, to silna podnieta do pracy, silne umocnienie wiary w dobro ruchu ideowego młodzieży całego świata.

I obok tego radosne przeświadczenie, że idziemy dobrą drogą. Skauting, przeszczepiony na różne narodowości, wszystkim im niesie niewątpliwie pożytki.

PROJEKT USTAWY O OPIECE NAD MATKĄ I DZIECKIEM

Min. Pracy i O. S. opracowuje projekt ustawy o opiece społecznej nad macierzyństwem, dziećmi i młodzieżą. Podstawą tego projektu jest z jednej strony istniejące ustawodawstwo polskie, z drugiej ustawy państw obcych, o pokrewnym przedmiocie, jak angielski Hildren Act z 1908 r. i duńska ustawa z r. 1905. Zakres projektu obecnej ustawy polskiej obejmuje opiekę społeczną nad macierzyństwem, niemowlętami, nieletniemi, opuszczonemi, zaniedbanemi, krzywdzonemi i zagrożonemi przez wpływ złego otoczenia, sierotami i przestępcami. Opieka społeczna w myśl projektu powinna odnosić się do nieletnich do lat 17 wieku. Granica ta może być czasem przesunięta do pełnoletności. Projekt ustawy posiada charakter deklaracyjny, odsyłając samo wykonanie opieki społecznej do ustawy o organach opieki społecznej. Sprawy kosztów opieki społecznej, według projektu, rozłożone są między samorząd i osoby, prawnie do ponoszenia kosztów obowiązane, jak rodzice i opiekunowie.

Z ŻYCIA STOWARZYSZEŃ

TOWARZYSTWO ZAWODOWEGO KSZTAŁCENIA KOBIEC.

Powstało ono w pierwszym roku wojny i ma na celu niesienia pomocy zarówno tym jednostkom, które dążą do gruntownego wydoskonalenia się w raz obranym zawodzie, jak też i tym, które z ważnych powodów muszą zmienić fach już podjęty. Szwaczka np., która podupała na oczy, lub zachorowała na ciężką anemię i nie może siedzieć nad igłą, nauczycielka, której słabe gardło nie pozwala mówić dużo, — muszą znaleźć inny sposób zarobkowania, żeby nie powiększyć armji bezrobotnych.

W ciągu 10 letniego swego istnienia T-wo wykształciło w kierunku zawodowym 400 przeszło kobiet. Gdy w pierwszych trzech latach istnienia—skutki em zamknięcia telefonów, obsadzenia poczt i telegrafów wyłącznie przez żywoły obce—znaczna liczba kobiet rzuciła się do ochroniarstwa i nauczycielstwa ludowego, T-wo liczyło najwięcej stypendystek na kursach ochroniarskich i w Seminarjach dla nauczycielek ludowych.

Z chwilą wyzwolenia Polski i powstania samodzielnych naszych organów administracyjnych, zgłaszała się wielka ilość kandydatek na biuralistki pomocy jednak w nauce daktylografji, księgowości, stenografji i t. p. udzielało T-wo tylko osobom, które wykazały się maturą lub co najmniej sześcioklasowem przygotowaniem, i znajomością języków. Z pośród rękodzielniczek najliczniej zwracały się do T-wa grupy szwaczek z prośbą o naukę kroju. Stypendystek w tym kierunku liczyło T-wo przeszło 80. Poza tem udzieliło T-wo zapomóg kilku akuszerkom, paru dentystkom, sanitarjuszkom i t. d. W wyższych szkołach, jak Szkole Nauk politycznych, Wolnej Wszechnicy miało T-wo ogółem tylko pięć stypendystek.

W chwili obecnej T-wo opłaca wpisy za 6 osób na cechowych Kursach kroju, za 2 uczennice Seminarjów dla nauczycielek ludowych, 2 na Kursach handlowych i t. d.

Przy T-wie istnieje Koło Pomocy, które zapewnia stypendystkom pomoce szkolne, pomoc lekarską, lekarstwa i w ważnych wypadkach zapomogi zwrotne na ciepłą odzież, obuwie lub odżywienie.

T-wo podtrzymywało dotąd Szkołę Niedzielną i Wieczorną dla pracownic, która liczyła 150 uczennic i pięć oddziałów. Z powodu ciężkich warunków Szkoła została zwinięta. Coraz większa trudność w zdobywaniu pieniędzy na instytucje społeczne nie pozwala T-wu rozwijać szerszej działalności. W obec wygórowanych wpisów musiało ono zmniejszyć znacznie liczbę stypendystek, ograniczając się głównie do udzielania porad zawodowych i prowadzenia pośrednictwa pracy. Biuro T-wa mieści się w lokalu Koła Polek — Pałac Staszica — Krak. Przedmieście № 2. Czynne w poniedziałki, czwartki piątki od 6—8 wiecz. Porady zawodowe udzielane bywają tylko w czwartki od 6—8.

W „ŚWIETLICACH“ KOŁA POLEK.

Przybyła z Pomorza p. Stefanja Bojarska długoletnia pracownica oświatowa, podjęła się wygłosić w miesiącu styczniu r. b. cały szereg wykładów dla młodzieży żeńskiej w „Świetlicach Koła Polek“ w stolicy.

Dotąd wykładów było 4, na następujące tematy:

Dnia 7 stycznia w „Świetlicy Koła Polek“ na Krakowskim-Przedmieściu № 99, dla grupy starszej, wykład na temat: Nauka obywatelska.

Dnia 11 stycznia w Świetlicy na Pradze, dla grupy Matek wykład aktualny, bo na temat: „Życie i działalność p. Wandy Umińskiej.“

Dnia 12, na Pradze w tejże samej „Świetlicy“ dla grupy starszych dziewcząt—wykład na temat: „Historja klubów oświatowych.“

Dnia 13 stycznia w „Świetlicy“ na Krakowskim-Przedmieściu — wykład dla grupy młodszych dziewcząt p. t. „Najmłodszy pracownicy społeczni w Polsce.“

ORGANIZACJA ŻON WOJSKOWYCH.

W gronie żon oficerów garnizonu warszawskiego powstał projekt utworzenia organizacji kobiecej, która miałaby za zadanie pracę nad podniesieniem stanu materialnego i kulturalnego rodzin wojskowych.

Wobec opłakanych warunków, w jakich znajduje się olbrzymi procent oficerów i ich rodzin, związek taki może mieć ogromnie poważne zadanie i z radością powitać należy tę inicjatywę.

Przewidziane jest utworzenie sekcji porad prawnych, sekcji spraw materialnych, opieki nad dziećmi i sekcji kulturalno-towarzystkowej.

UDZIAŁ KOBIEC W STOWARZYSZENIACH MIESZANYCH

— „Kurs oświatowy w Strzelcu“. Od dn. 28 grudnia do 6 stycznia odbywał się w Warszawie Kurs oświatowy pod kierunkiem p. Stefanji Kudelskiej. Kurs liczył 16 uczestników z różnych stron kraju. Na kursie tym p. Radlińska miała referat p. t. „Charakterystyka prac oświatowych pozaszkolnych w Polsce“, p. E. Malinowska—referat p. t. „Czytelnictwo“.

— Przewodniczącą Polskiego Towarzystwa Teozoficznego jest p. Wanda Dynowska, przewodniczącą Ogniska studjów porównawczych nad religjami p. Karasiówna, przewodniczącą Ogniska etycznego p. Hausbrandtówna, przewodniczącą Ogniska harmonji p. Zofja Wojnarowska, przewodniczącą Ogniska czynu p. Wanda Dynowska.

WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE

ANGLJA.

Pierwsza adwokatka. Przed kilkunastu dniami wystąpiła z pierwszą obroną przed sądem w Londynie kobieta-adwokat, miss Ida Duncan. Wygłosiła ona tak piękną i tak doskonale skonstruowaną mowę obrończą, że uzyskała nie tylko niewinność swego klienta, lecz zasłużyła sobie na pochwałę przewodniczącego sądu, który wieszował jej doskonałego obeznania się z naukami prawnymi i porywającej wymowy.

Prasa angielska o ruchu kobiecym. W ciągu ubiegłego roku wzmogło się znacznie zainteresowanie prasy angielskiej kwestją kobiecą. Większość pism codziennych wprowadziła u siebie stały dział, poświęcony sprawom kobiecym, w noworocznych zaś numerach pomieściły obszernie artykuły, zawierające przegląd ruchu i pracy kobiet w przeciągu ostatniego roku oraz zestawienie wyni-

ków tej pracy. Wymieniamy tu nazwy jedynie najpoważniejszych z pośród tych dzienników. Są to: Manchester Guardian, Daily Telegraph, Newcastle Chronicle, Edinburgh Evening News, Glasgow Herald, East Anglian Daily Times, Sheffield Independent (ten ostatni umieścił bardzo interesujące sprawozdanie z ruchu kobiecego, pióra znanej posłanki do parlamentu, pani Wintringham).

Dwie lekarki mianowane do służby kolonjalnej. Min. do spraw kolonji mianowało dwie lekarki angielskie naczelniczkami oddziałów lekarskich w Zachodniej Afryce: panią Blacklock—do Sierra Leone, i panią Haloren na Złote Wybrzeże. Obie te lekarki otrzymują stanowiska i pobory równe tym, jakie pobierają lekarze—mężczyźni.

SZWECJA.

Kobiety w parlamencie. Przy ostatnich wyborach, do parlamentu szwedzkiego posłankami zostały: pani Truhm, rolniczka, oraz p.p. Hesselgren, Wehlin, Ostnird i Tpiring.

RUMUNJA.

Kobieta na czele Departamentu Prasy. Dowiadujemy się z pisma kobiecego „Wiestnik na Żenata“, że p. Eliza Bancescu zajmuje stanowisko wice-dyrektora Departamentu Prasy w rządzie rumuńskim.

WŁOCHY

W Rzymie istnieją dwa polskie klasztory żeńskie: Zmartwychwstanki i Nazaretanki.

SERBJA.

Pierwszy profesor. Znana autorka i uczona serbska, panna Ksenia Atanasjewicz, otrzymała stopień docenta wydziału filozoficznego na uniwersytecie białogrodzkim.

NIEMCY

Hojny dar. Żona zmarłego słynnego malarza niemieckiego, Kenbacha, ofiarowała niezmiernie cenne zbiory dzieł swego męża monachijskiemu muzeum sztuk pięknych.

Zgon słynnej autorki. W Berlinie zmarła, przeżywszy 63 lata, Elżbieta baronowa von Heyking, autorka „Listów które go nie doszły“.

Książka ta, wydana bezimiennie w 1898 r., zyskała odrazu powodze-

nie ogromne, ze względu na głębię uczucia, przepelniającą zawartą w niej korespondencję miłosną. Przetłumaczono ją na wszystkie języki europejskie, a między innymi na polski. Dopiero po kilku latach okazało się, że autorką ich jest baronowa von Heyking, z domu hrabiarka Flemming Crossen.

„Listy, które go nie doszły“ zapewniły jej sławę, a choć później ogłosiła jeszcze drukiem cały szereg udatnych nowel i dwie powieści, to jednak utwory te nie dorównywały pierwszemu jej dziełu.

PERSJA.

Klub kobiecy w Bagdadzie „Manchester Guardian“ podaje wiadomość o otwarciu pierwszego klubu kobiecego w Bagdadzie. Przewodniczącą jego jest pani Isma Zehawi, członkinie zaś rekrutują się przeważnie z pośród pań wyznania mahometańskiego, co, jak zaznacza korespondent, przed kilkoma jeszcze laty było w Persji rzeczą wprost nie do pomyślenia.

INDJE.

Kobieta członkiem Rady Ustawodawczej. Pani Lukhousse Ponnen, lekarz szpitala dla kobiet i dzieci w Trirandum (Indje) została niedawno obraną na członka Rady Ustawodawczej tego państwa.

MANDŻURJA

Kolonja polska w Charbinie posiada gimnazjum koedukacyjne im. H. Sienkiewicza z programem i prawami szkół polskich, oraz kilka szkół początkowych, w których pracuje kilka nauczycielek. Przy gimnazjum są drużyny harcerskie męska i żeńska. Wśród stowarzyszeń polskich wyłącznie kobiecym jest „Konferencja pań św. Wincentego a Paulo“, utrzymująca bursę dla dzieci.

AUSTRALJA

Pierwsza kobieta architektem. Pierwszy patent rządowy dyplomowanego budowniczego otrzymała w Zachodniej Australji Miss Margaret Pitt Marison.

OD NASZYCH KORESPONDENTEK

WILNO w styczniu

W okresie świątecznym odbył się w Wilnie pierwszy zjazd instruktoerek tkackich, które na wiosnę ukończyły szkołę tkacką im. A. Moh-

łówny. Zebrane postanowiły związać Koło absolwentek tejże szkoły. Cele i zadania takiego koła zarysowały się w dłuższej dyskusji, jako wynik półrocznej już pracy i doświadczenia, zdobywanego w nader trudnych nieraz warunkach. Rozrzucone pojedynczo po odległych, nadgranicznych placówkach, pracując w niższych szkołach zawodowych i tkackich, organizowanych przez sejmiki, w różnych środowiskach i z bardzo różnym elementem, wszystkie odczuwają brak łączności ze sobą i ze szkołą.

Nawiązanie więc i utrzymanie stałe tej łączności i współpraca, polegająca na wymianie myśli, spotrzeżeń, uwag, wreszcie surowców, przedży i materiałów, dalej pomoc w pracy społecznej i kulturalnej - gromadzenie eksponatów i wzorów sztuki ludowej, z myślą utworzenia odpowiedniego muzeum, oraz najszerzej pojęta samopomoc, łącznie z organizacją wycieczek do większych środowisk tkactwa - wysunięto jako cele wytyczne.

Powołane do życia nie drogą sztuczną, a jako wynik rzeczywistej, gorąco odczuwanej potrzeby, Koło to rokuje nadzieje pożytecznego rozwoju.

STOWARZYSZENIA KOBIECE NA POMORZU.

Istniejąca na Pomorzu praca kobiet, skupia się w następujących Towarzystwach. Tow. Polek, Tow. Ziemianek, Stowarzyszenie św. Wincentego a Paulo, Czerwony Krzyż i Związek obrony Kresów Zachodnich. Skupiają się też kobiece siły przy „Tow. Czytelni Ludowych“ i „Kółkach oświatowych“, w ostatnich czasach powstają tu i owdzie Koła Narodowej Organizacji Kobiet.

Można powiedzieć, że praca pomorskich kobiet najintensywniej przejawia się w kierunku charytatywnym, zawodowym i oświatowym, w duchu narodowym i katolickim.

St. B.

Z SEJMU I RAD MIEJSKICH

— W sejmowej Komisji ochrony pracy, omawiającej projekt ustawy o inspekcji pracy dn. 14 b. m. zabierała głos posłanka Praussowa (P. P. S), wskazując na specjalne traktowanie państwowych zakładów pracy, na ich uprzywilejowanie w stosunku do zakładów prywatnych, co, jest zdaniem jej, niesłuszne.

— Na posiedzeniu Wydziału Oświaty i Kultury Łódzkiej Rady Miejskiej rozważano sprawę założenia szkoły dla dzieci krótkowzrocznych. Referowała sprawę Radna Napiórkowska. Powołano do życia specjalną Komisję, która zajmie się urzeczywistnieniem projektu. Radna Napiórkowska weszła do składu Komisji.

Z ŻYCIA PROWINCJI

ŁÓDŹ w styczniu

W związku z zamierzonym otwarciem przez Łódzki Oddział Chrześc. Tow. Ochrony Kobiet, — Domu poprawczego dla dziewcząt, pragnących powrócić na drogę poprawy, — Magistrat, pragnąc przyjąć T-wu z pomocą w tych poczynaniach, postanowił udzielić lokal na cel powyższy. Wyszukaniem odpowiedniego pomieszczenia zajmie się Wydział Gospodarczy.

ŁUCK w grudniu

— Koło Polek w Łucku urządziło wigilię dla chorych żołnierzy w szpitalu wojskowym. Panie Potocka i Czarnecka, podzieliwszy się opłatkiem z chorymi i personelem szpitalnym, rozdały podarunki gwiazdkowe.

— Staraniem Wojewódzkiego Związku Młodzieży i Związku Kółek Rolniczych urządzone zostały we wsiach Zabce i Kopaczówce kursy społeczno-rolnicze przy udziale 60 osób — w tem 28 dziewcząt wiejskich.

— Z gm. Sławatycze. We wsi Hannie w pow. Włodawskim miejscowe Koło młodzieży odegrało pod kierownictwem miejscowych nauczycielek p. Bobkiewiczówny i p. Karpinkówny jasełkę p. t. „Przybieżeli do Betleem“. Przedstawienie wywołało wielką sensację, ponieważ nigdy nie widziano tu nic podobnego.

PŁOCK w styczniu

— Leszczyno Księżę. 8-go stycznia. Dzięki staraniom i ofiarności obywatelki miejscowej, pani Machcińskiej powstała w Leszczynie Księżem (wojew. Płockie) szkoła powszechna. Wieś oddalona znacznie od innych środowisk życia ludzkiego potrzebowała koniecznie szkoły. P. Machcińska ofiarowała mieszkanie, przygotowała lokal szkolny i zapewniła nauczycielce całkowite utrzymanie. Na uroczystym poświęceniu szkoły przyjmowała śniadaniem całą zgromadzoną dziatwę.

CO PISZE PRASA

— W „Kurjerze Lwowskim“ № 18. p. Michałina Hausnerowa omawia plon, rozstrzygniętego w roku ubiegłym, konkursu powieściowego „Lektora“. Nie pospolity traf sprawił, że na konkursie tym otrzymały nagrody wyłącznie pióra kobiece. (P. Melcer Rutkowska za powieść p. t. „Miasto Zwierząt“, p. Eugenia z Bierońskich Weinertowa pisząca pod pseudonimem Mieczysława Weinerta za powieść „Rękopis Ulrycha Branda“, p. Aurelja Wyleżyńska za powieść p. t. „Niespodzianki“, Elżbieta Delmar-Dębicka za powieść „Zrodzeni na jednej ziemi“ i p. J. Stycz (Herminja Naglerowa) za zbiór nowel p. t. „Czarny Pies“).

„Zwycięstwo piór kobiecych na tym turnieju — pisze „Kurjer Lwowski“ świadczy bezsprzecznie o rozwoju twórczości literackiej w świecie niewieścim. „Pióro damskie“ wyszło z zaczarowanego koła sialankowych marzeń i szablonowej frazeologii, w jakim dotychczas obracał się ogół naszych pisarek, z wyjątkiem kilku fenomenalnych talentów. Kobieta w czasie wojny nauczyła się myśleć i żyć, weszła w świat pracy, rozszerzyła krąg swych zainteresowań i wiedzy. Pióro jej przestało być specjalnie „kobięcym“, nabrało cech ludzkich, wyleczyło się z anemji“.

— „Informacja Powszechna“ № 1-2 zamieszcza recenzję J. Kotarbińskiego o powieści p. Wandy Miłaszewskiej p. t. „Cmentarz i Sad“, drukowanej w r. ub. w „Bluszczu“ p. t. „Ogrodniczka“, Ocena jest bardzo przychylna.

— „Przegląd Lubelsko-Kresowy“, № 1. zamieszcza krótką recenzję ze zbiorku wierszy p. „Franciszki Arnsztajnowej p. t. „Archaniół Jutra“. Książka należy do cyklu poezji legjonowych.

— „Wiadomości Literackie“ № 2 drukują artykuł Boy'a Żeleńskiego p. t. „Apologia p. Hańskiej“. Głośny znawca i tłumacz Balzaca zdaje w nim sprawę z pracy p. Bouteron, poświęconej p. Hańskiej i rehabilitacji jej sławy, wobec niesłusznych oskarżeń pisarzy francuskich.

— W „Stadjonie“ № 9. p. Muszallówna omawia sprawę „Międzynarodowej Kobiecej Federacji Sportowej“.

— Bułgarskie pismo kobiece „Więstnik na Zenata“ zamieszcza wzmiankę o powstaniu Biura Prasowego dla spraw kobiecych przy Tow. Wydawn. „Bluszcz“.

ODCZYTY

— Dn. 17 stycznia p. Wanda Dynowska przewodnicząca Polskiego Towarzystwa Teozoficznego wypowiedziała odczyt p. t. „Teozofowie o swojej ideologii i o działalności Tow. Teozoficznego.“ Po odczycie odbyła się dyskusja. Następnym odczyt tej samej prelegentki p. t. „Niebezpieczeństwa pseudo okultyzmu“ odbędzie się dn. 7-go lutego w Sali Tow. Hygienicznego o godz. 8-ej wieczorem.

— Dn. 16 stycznia w czytelni im. Żmichowskiej (Tow. Czytelni m. Warszawy) p. Stefania Bojarska wypowiedziała pogadankę na temat „Najmłodszy pracownicy społeczni w Polsce“. Następnym wykład dla młodzieży harcerskiej p. t. „Co to jest harcerstwo“, wygłosi ta sama prelegentka dn. 25 stycznia. Odczyty organizuje kierowniczką czytelni p. Konopczanka.

— Dn. 11 stycznia w Sali hotelu Polonja w Warszawie p. Szymkowiakówna wygłosiła odczyt p. t. „Działalność społeczna kobiet“.

— Członkini Krak. Tow. Metapsychicznego p. Janina Persowska wygłosiła w Krakowie w dn. 21 stycznia odczyt p. t. „Teoria strachów.“

NA SZPALTACH PRASY

— W № 2 „Wiadomości Literackich“ spotykamy pełną ciętego dowcipu odpowiedź Marji Jehanne Walewskiej Adolfowi Nowaczyńskiemu. Feljeton nosi tytuł: „Panichidy na uroczystości pogrzebowe Adolfa Nowaczyńskiego“.

— „Kurjer Polski“ № 17 w dziale „Świat Kobiety“ zamieszcza dalszy ciąg artykułu C. Walewskiej „Organizacje polityczne kobiet“, „Uproszczenie gospodarstwa domowego“ oraz „Niemowlę w Ameryce“ podp. R. D.

— W „Panteonie Polskim“ № I r. II p. Zofja Zawiszanka kończy wspomnienie o ś. p. poruczniku Stanisławie Długoszu Teterze. Ta sama autorka poświęca również kilka słów gorącej pamięci Franciszka Pększyca-Grudzińskiego, obu poległych w walkach legjonowych.

— „Kultura Słowiańska“ № 6—7 zamieszcza J. Rudzkiej „Adolf Czerny w stosunku do Polaków“ i dr. Janiny Kozłowskiej „O ideę słowiańską.“

— „Świat“ drukuje powieść Johana Parisa p. t. „Kimono“ w przekładzie Hajoty.

— W „Dzienniku Narodowym“ № 6 (Piotrków) p. Celina Milewska omawia sprawę zakupu pokoi dla piotrkowskiej młodzieży akademickiej przez Radę M. Piotrkowa. Autorka dowodzi, że nie jest to wielki gest obywatelski, ale złoty interes.

— „Wielkopolanin Ilustrowany“ № 6-ty zamieszcza artykuł pani Wandy Grabowskiej p. t. „Pod sztandarem abstynencji“. Autorka zachęca kobiety do walki z alkoholizmem.

— „Ognisko“ (Paryż) № 152 drukuje artykuł p. Ewy Mickun „O nowej konwencji francusko-polskiej“.

RÓŻNE

— Komitet organizacyjny fundacji Benzefa przyznał zapomogę 5000 złotych instytutowi radowemu w Warszawie imienia Marji Curie-Skłodowskiej.

— Na międzynarodowej Konferencji pracowników umysłowych w Paryżu, delegacja polska witana była owacyjnie i uchwalono przyjęcie jej w skład C. I. T. zanim formalnie zwróciła się o to do Kongresu.

Wrażenie wzrosło jeszcze, gdy wymieniono, jako naszych delegatów honorowych p. W. Mickiewicz i p. Curie-Skłodowską. Widać było, że na większości zgromadzonych wywarł silne wrażenie fakt, że sława nauki światowej i wynalazczyni radu jest naszą rodaczką. Niezaprzecenie oddaliśmy w ten sposób dużą usługę naszej propagandzie. Zebranie powitało burzliwymi oklaskami zaproszenie na trybunę honorową p. Curie i p. Mickiewicza. Sekretarz generalny C. I. T. I. podkreślił zaszczyt, jaki spada na cały Kongres z powodu udziału w nim wielkiej polki i syna wieszczki polskiego.

SPORT

Na międzynarodowych zawodach narciarskich w Koszycach, w biegu dystansowym pań na odległość 5-ciu kilometrów brało udział 15 zawodniczek. Zwycięstwo odniosła p. Ella Ziętkiewiczowa, członkini „Sokoła“ w Zakopanem. Wyznaczony dystans przebyła w 16 minut 22 sekundy. Drugą z kolei była Małgorzata Reinhardt, trzecią—Kamilla Heinz.